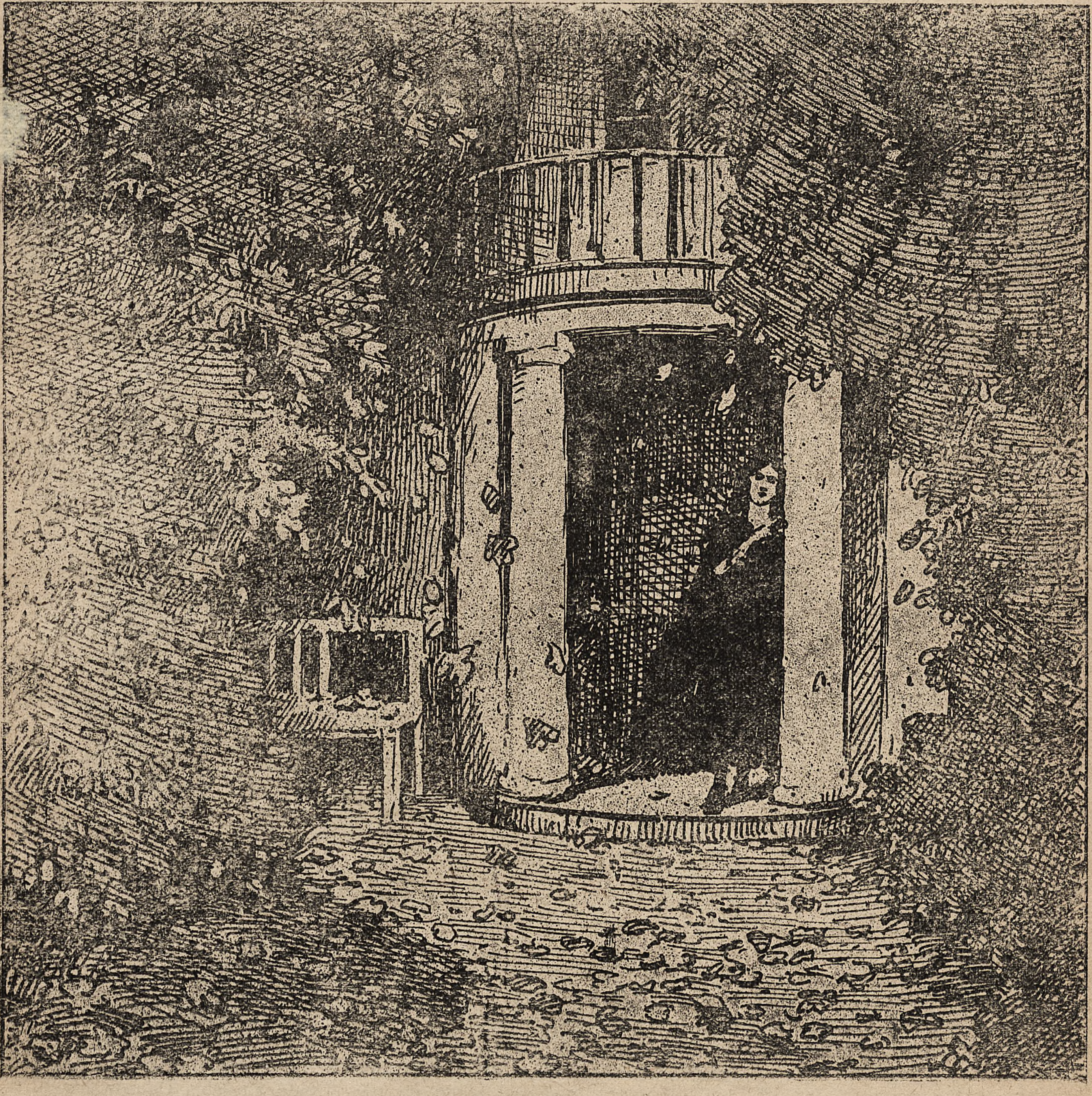
Rok I. Nr. 1. Kraków, 1. października 1919 r. Cena egz. 2 K. (mr. 1·40)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 12·— (mrk. 8·—), półrocznie K. 24·— (mrk. 16·—), rocznie K. 48·— (mrk. 32·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Czysta 19.
Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Biuro wydawnictw i ogłoszeń „Krakus" Kraków, ul. Felicyanek 3.



A gdy liście z drzew opadną...
(do tekstu na str. 2.)

A gdy liście z drzew opadną.

(Do ryciny tytułowej).

Przyszła przez noc — wionęła chłodem, omroziła szronem... rozsypała płatki jesiennych bezwonnych róż, pochyliła główki puszystych astrów, zwarzyła delikatne, białe kwiecie heliotropu... Ostały się jeno przed jej podmuchem rozłogi liliowo-różowego wrzosu, tego kwiatu skromnego, a zdrowego, mocnego, wytrwałego... na łąkach zakwitł kwiat dziwny, ostatni — zimowitem zwany, kwiat, co ma kielich lilii, a barwę róż, uroczy i melancholijny, jak ostatnia miłość... Przyszła otulona w płaszcz mleczno-sinych mgieł, w dyademie liści grających symfonią barw od gorącego złota do ciemnej purpury...

Przyszła jesień...

W mglisty poranek przed białym domem w głębi odartego z kras sadu stoi kobieta w czerni — smutna, zadumana... Hej! jak tu było barwnie i wesoło, jak się wszystko śmiało do życia, do szczęścia, kiedy rozkwitały róże majowe i drzewa jabłoni osypane kwieciem różowem, bogaty zwiastując plon...

Marzyło serce o kochaniu... O krasnych jabłkach marzył stary sad...

Ale czerw stoczył plon obiecany... cudne nadzieje rzucił w grób... I zapłakała kobieta w czerni — cicho, boleśnie...

„...bo gdy jesienią w skrzynkę zieloną
pod czarny krzyżyk Jasia złożono...“

uciekło szczęście z białego domu... Na łąkach kwitnie ostatni kwiat... a na cmentarzu z szumiących w wichrze jesiennym drzew padają zżółkłe liście na świeży grób...

„Pokój z niemcami!“

Niemcy chętnieby uznali
pokój z Polską sercem całem,
gdybyśmy go tylko dali
z wiktem, światłem i opałem.

A na Górny Śląsk niemało
jest niemiecka horda łasa,
jednak mówić można śmiało:
„nie dla pieska jest kiełbasa“.

Niemcy! Toć my dobrze wiemy,
co jest waszem pożądaniem;
więc wam zaproponujemy
pokój ale tylko z „praniem“.

Po wojnie.

Okopy przemieniły się w kwiecisty parów,
zarośnięty po brzegi w wierzb płaczące krzaki,
w płomienne — jak żołnierskie miłowanie — maki,
w pęki przytulii — białe, jak kity huzarów.

Słońce oblewa ogniem piekielnych pożarów
srebrne chorągwie wiklin i ostu szyszaki,
i husaryę błękitu — rozśpiewane ptaki...
Szumią bylice nakształt zielonych sztandarów.

Tu konały narody. Tu grzmiały armaty.
A dziś ptaki śpiewają i śmieją się kwiaty,
rumiane krwią poległych, ich sławą promienne.

Polsko! I ty zakwitniesz jako te okopy.
Gwiazdą narodów będziesz, słońcem Europy,
wielka — jak Bóg, świetlista — jak niebo wiosenne!

Julian Ejsmond.

W obronie Śląska.

Lud śląski, gnębiony i prowokowany przez Niemców, chwycił za oręż. Garstka powstańców wystąpiła przeciw odwiecznemu wrogowi, rozporządzającemu znacznemi siłami wojskowemi. Powstańcom się nie udało. Brakło broni, amunicyi. Bezwzględna pięść pruska dopuszczała się podczas tłumienia ruchu powstańczego potwornych zbrodni i bestyalskich okrucieństw. Wieszano, rozstrzeliwano, mordowano dzieci i kobiety, pędzono biednych mieszkańców Śląska w głąb Niemiec, gdzie czekały ich straszne męczarnie.

Krwiożercze zastępy „Grenzschutzu“ nie ograniczały się do prześladowania polskiej ludności Śląska, ale podsycane dziką żądzą zemsty, strzelały do mieszkańców b. Królestwa Polskiego, wyrządzając znaczne szkody i powodując liczne ofiary.

Wojsko nasze, o ile z powodu skrępowania traktatem pokojowym nie mogło pospieszyć z pomocą braciom śląskim, o tyle energicznie występowało przeciwko atakom Niemców na Sosnowiec i inne pograniczne miejscowości. Rycina nasza przedstawia jedną z kopalń Zagłębia Dąbrowskiego, w której ludność wraz z naszymi żołnierzami oczekuje ataku aeroplanu niemieckiego.



— Już go widać!...

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

ROZDZIAŁ I.

Uprowadzenie w automobilu.

W damskim klubie w wykwintnej dzielnicy miasta zebrała się licznie publiczność przeważnie z kobiet złożona, aby wysłuchać prelekcyi o współczesnym ruchu kobiecym. Było tyle osób, że zapełnione zostały nawet boczne sale i obszerne „foyer".

Wysoka ładna panna opuściła swe miejsce przy drzwiach głównej sali w chwili, gdy oklaskiwano jedną z prelegentek, i rzuciwszy spojrzenie na mały, osadzony w bransoletce zegarek, szepnęła sama do siebie:

— Już pół do jedenastej, a nic specyalnie interesującego... Zobaczę, czy...

Niepostrzeżenie wysunęła się przez „foyer" na teras, obciągnęła silniej ramiona swoją lekką zarzutką, przechyliła się przez poręcz... Natychmiast podbiegł ku niej mężczyzna w długim płaszczu automobilowym, w czapce nasuniętej głęboko na czoło i w okularach i skłoniwszy się z uszanowaniem zapytał:

— Auto?... panno Alicyo?...

— Tak jest, pojedziemy — odparła — dobrze, że pan już jest...

Zbiegła szybko z szerokich marmurowych stopni i poszła za szoferem. Kiedy przystanęła przed wielkim, łagodnie warczącym automobilem, wsiadł wysoki mężczyzna również w stroju szofera i zajął miejsce obok kierownicy.

Dziewczyna obróciła się nagle:

— Kto to jest? — zapytała dość ostro. — Przecież to chyba nie...

Ale szofer podając jej rękę, aby dopomódz przy wsiadaniu, rzekł spokojnie:

— To maszynista, panno Alicyo. Automobil zdawał się nam być trochę...

Młoda panna usiadła już, owinęła się szczelniej w swój płaszcz i zawołała krótko:

— Do domu!

Widocznie jakaś myśl absorbowała ją mocno, bo wtuliła się głęboko w kąt, przymrużyła oczy, fałdując zlekka piękne białe czoło. Nagle coś ją poderwało tak, że podniosła powieki i krzyknęła:

— Co to znaczy?!...

Spostrzegła bowiem, że automobil w najszybszem tempie pędzi przez nieznane jej ulice i mężczyzna, który miał być maszynistą, siedzi teraz obok niej, trzymając rewolwer w ręce.

— Niech się pani zachowa spokojnie i cicho — przemówił wstając — nie zrobimy pani nic złego, ale nie pozwolimy ze sobą żartować.

Głowa jej wyprostowała się dumnie, różowe wargi wygięły się pogardliwie, w błyszczących, wielkich oczach nie znać było śladu trwogi.

— Tak! Zatem znajduję się w miłem towarzystwie... bandyty?... Albo też może jest to uprowadzenie... — pochyliła się, jak gdyby chciała się lepiej przypatrzyć siedzącemu obok niej mężczyźnie.

Wtem, zanim on zdołał się spostrzedz, chwyciła lufę rewolweru palcami.

Nieznajomy z błyskawiczną szybkością oderwał jej palce i zgniótł w swej żelaznej dłoni.

— O! ty mała dzika kotko!... — warknął przez zaciśnięte zęby — to za dużo trochę żartów!...

— Proszę puścić moją rękę natychmiast!... — nakazującym głosem zawołała młoda dziewczyna. — Jeżeli to miał być dowcip, to posuwa się za daleko... Wiem, że w klubie były jakieś głupie zakłady w celu zbadania odwagi „płci słabej"... Ale dlaczego właśnie mnie do tego celu wybrano, to nie wiem...

Mężczyzna kierujący samochodem nie pozwolił jej dokończyć.

— Ani to nie jest żart, ani zakład, panno Irving. Nie chcemy pani zrobić nic złego, ale postaramy się o to, aby pani nie robiła niepotrzebnego hałasu; ostrzegam panią, jeżeli pani spróbuje krzyczeć, wołać, to zrobimy użytek z rewolweru lub z chloroformu, według okoliczności... Może pani sobie nazywać nas, jak się pani podoba, ale proszę pamiętać, że pani jest w naszej mocy, a my sobie w każdym wypadku damy radę.

Młoda dziewczyna głębiej jeszcze wtuliła się w kąt, a spojrzenia jej biegły od jednego do drugiego z grożących jej mężczyzn. Oddychała szybko i głośno, dolną wargę przycięła białymi ząbkami. Że była przerażona, to malowało się na jej pobladłej twarzy, ale oczy spoglądały dumnie i nakazująco, bez cienia trwogi.

Przez chwilę panowało milczenie. Samochód mknął z niezmniejszoną szybkością. Młoda dziewczyna zaczęła mówić znowu.

— Jeżeli dotychczas nie wołałam o pomoc to nie dlatego, abym się obawiała waszej brutalności.

— Zapewniam panią, panno Ir...

— Milcz pan! i słuchaj tego, co mam do powiedzenia... Nie krzyczę, bo nie chcę siebie i moich bliskich narażać na rozgłos, na skandal, nie chcę stać się ofiarą chciwej żeru sensacyi „żółtej prasy"! Wolę znosić przez jakiś czas wasze towarzystwo, niż ściągnąć na siebie powódź obrzydliwych artykulików gazeciarskich. Długo zresztą ta cała historya nie potrwa, skoro się przekonacie, że wasz plan chybił!... Zapewne że to mógłby być wcale dobry interes porwać dziedziczkę milionera Irvinga i wymusić wielki okup... Ale przypadkowo ja wcale nie jestem panną Irving!... Oto co chciałam powiedzieć.

Tymczasem auto minęło już park Movusa, przeleciało po moście i zostawiwszy poza sobą ulice miasta, znalazło się na drodze obrzeżonej z dwóch stron wstęgą lasów.

Mężczyzna pełniący funkcyę szofera odwrócił głowę przez ramię i rzekł:

— Kolego, sądzę, że możesz już spokojnie schować swój rewolwer. Panno Irving, jeżeli pani nam da słowo, że zachowa się cicho, to będzie i dla pani i dla nas wygodniej.

Zaśmiała się szyderczo.

— Nie mogę dawać słowa za pannę Irving!... Powtarzam: nie jestem panną Irving!... Pomyliliście się srodze



— Niech się pani zachowa spokojnie! — przemówił, wstając —

i napewno ten, kto was wysłał, zrobi minę jak niepyszny, kiedy mnie zobaczy!...

— O, pani napewno mu się spodoba — oświadczył z galanteryą towarzysz w automobilu — a co do reszty to pogadamy... Chcę, żeby pani nam dała słowo, bez względu na to, jak się pani nazywa.

— Ale ja tego słowa nie dam nigdy! nigdy! zapamiętajcie to sobie!... Jak długo zechcecie mnie przemocą zatrzymywać uczynię wszystko, co tylko w mej mocy, aby się od was uwolnić!... Nie mam wcale ochoty naciągać moich przyjaciół, którzy sami niezbyt dużo mają pieniędzy, na płacenie okupu rabusiom!... Ach!...

W zapale nie zauważyła, że ręka trzymająca rewolwer, schowała broń do kieszeni, a wydobya natomiast coś innego... Zanim zdążyła zoryentować się, już uderzył jej powonienie mdły zapach chloroformu, gruba maska odgrodziła ją od świeżego powietrza wiosennej nocy i młoda dziewczyna opadła na siedzenie bezprzytomna, podczas gdy auto z zawrotną szybkością pędziło we wschodnim kierunku.

* * *

Zaledwie automobil odjechał z przed klubu, natychmiast z długiego szeregu czekających pojazdów oddzielił się drugi, zupełnie do tamtego podobny, i także pomknął w kierunku północnej części miasta. Wkrótce jednak zatrzymał się przed rzęsiście oświetloną pierwszorzędną kawiarnią. Wysoki mężczyzna wyskoczył na ulicę i pospieszył do wnętrza, pozostawiając szofera i młodą damę w automobilu. Po chwili pan ten w otwartem palcie, z pod którego widać było frakowe ubranie, powrócił, prowadząc ze sobą kelnera, niosącego dużą szklankę, pełną złocistego napoju.

— Alicyo, panno Irving, niech się pani napije... To panią odświeży — rzekł i podał jej szklankę, którą ona wypiła jednym tchem, poczem wsiadł znowu.

Szofer obrócił się i przykładając rękę do czapki, zapytał tonem, pełnym uszanowania:

— Czy podać pani płaszcz?

Młoda dama odpowiedziała krótkim odmownym gestem i lakonicznem:

— „Nie!" — a wypiwszy do dna złocisty napój, oddała szklankę kelnerowi.

— Proszę jechać! — rozkazał pan w palcie i frakowem ubraniu.

Auto ruszyło.

Po chwili mężczyzna w automobilu nachylił się do swej milczącej sąsiadki i zapytał troskliwie:

— Jak się pani czuje? Czy pani zmęczona?

— Jestem więcej niż zmęczona. Ta cała historya jest mi wstrętna... Wolałabym... ach! niema o czem mówić! Jeżeli to musi być!...

— O! pani, jak widzę, bardzo zmęczona... Odpocznie pani wkrótce... Już niedługo znajdzie się pani w domu, a wtedy...

— Proszę zaprzestać! — zgromiła go — jeżeli pan będzie próbował dalej prowadzić ze mną rozmowę, to... to uderzę pana!...

Pochyliła się naprzód, i dotknąwszy ramienia szofera ręką, na której błyszczał brylantowy pierścionek, rzekła:

— Proszę jechać jak najszybciej!...

* * *

Wszystkie te wypadki miały miejsce pewnego ciepłego majowego wieczoru, a następnego dnia szef policyi nowojorskiej otrzymał ranną pocztą następujący list:

„Młoda, wybitnie urodziwa i elegancka dama odjechała przed czterema dniami do Nowego Jorku. Zamieszkała tam w hotelu Regis i zapisała się na liście gości hotelowych jako panna Harris z St. Louis. Ma ona zatrzymać się w mieście osiem dni z powodu różnych ważnych osobistych spraw. Bardzo możliwem jest, że grozi jej coś złego, bo ma wroga... Czy zechciałby pan trochę zaopiekować się nią, aby jej zapewnić bezpieczeństwo? Bliższych szczegółów dowie się pan od niej samej. W razie koniecznej potrzeby dowie się pan nazwiska autora tego listu w dyrekcyi policyi w St. Louis".

Ten przysłany z St. Louis list ukazał się tego samego dnia w wieczornych wydaniach gazet z takiem uzupełnieniem:

W kwadrans po wręczeniu tego listu udał się urzędnik policyjny Mac Nell do hotelu Regis i dowiedział się tam, że panna Harris istotnie przybyła przed czterema dniami z St. Louis. Jadała ona w hotelu tylko śniadanie, poza tem widywano ją mało. Nie przyjmowała żadnych wizyt. Wczoraj po południu wyszła na miasto po sprawunki, przyniosła paczki do hotelu, przebrała się szybko i potem dorożką automobilową odjechała... Według podanego przez funkcyonaryuszy hotelowych rysopisu jest to wysoka osoba o twarzy dumnej, ale bardzo miłej. Tego dnia ubrana była w ciemnogranatowy kostyum, skromny, ale bardzo gustowny z kosztownej materyi.

Od tej chwili już panny Harris w hotelu nie widziano. Pokojówka przypomina sobie, że młoda dama pytała ją o adres pewnego klubu kobiecego, gdzie bojowniczki o prawa kobiece odbywają swoje zebrania i wygłaszają odczyty.

Więcej nie można się było niczego dowiedzieć... Informacye zasięgnięte w owym klubie nie naprowadziły na ślad zaginionej. Panna Harris krytycznego wieczoru wzięła ze sobą jasny, bogato haftowany płaszcz i osłoniła kapelusz woalem, który zarówno jak płaszcz odznaczał się modnym kolorem, zwanym obecnie „szampańskim". Włosy ma złocisto-brązowe, bardzo bujne, regularne rysy i piękne, szaroniebieskie oczy. Na palcach jej lśniły pierścionki z brylantami. Koło szyi miała owinięty kosztowny złoty łańcuch...

Naturalnie „żółta prasa" podchwyciła odrazu tę sensacyę. Pojawiły się opisy malujące jaskrawemi barwami powierzchowność panny Harris. — W związku z tajemniczem zniknięciem zrodziło się dziesiątki najdzikszych przypuszczeń. Dwa dzienniki podały wiadomość, że podczas zebrania w klubie widziano młodą pannę o podobnej do panny Harris powierzchowności, kóra o godzinie 11 odjechała w wielkim automobilu.

Po upływie ośmiu dni we wszystkich miejscowych pismach ukazały się artykuły z olbrzymimi tytułami brzmiącymi tak np.:

Porwanie dziewcząt!
Czyżby podwójne uprowadzenie!
Alicya Irving została uprowadzoną!
Czy pannę Harris spotkał taki sam los?
Gdzie one znajdują się teraz?
I gdzie jest nasza policya?

„Po kilku dniach usilnych poszukiwań okazało się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa dwie młode damy zniknęły z owego klubu kobiecego. Stało się bowiem wiadomem, że również panna Alicya Irving, jedyne dziecko magnata zbożowego Jamesa Irvinga, udała się na odczyt w klubie feministek i od tego czasu zniknęła bez śladu.

O zniknięciu zamieszkałej w hotelu Régis panny Harris już donosiliśmy.

Pan Irving z początku łudził się nadzieją, że córka nie zawiadamiając go, wybrała się z wizytą do krewnych lub przyjaciół. Wkrótce jednak złudzenie to rozprószyły listy, nieznaną pisane ręką, w których sprawcy porwania domagają się wysokiego okupu!"

W kilka dni później chciwa sensacyi publiczność przeczytała w dziennikach krótką notatkę, że panna Alicya, równie cicho i tajemniczo, jak zniknęła z domu ojcowskiego — powróciła doń. Sprawcy porwania okazali się tak zręczni i przebiegli, że nie można było absolutnie wpaść na ich trop.

Sumę okupową w żądanej wysokości wysłano i wzamian tajemniczy szantażyści wrócili córkę ojcu.

Więcej nie mógł się nikt dowiedzieć, bo drzwi domu Irvingów pozostały przez długi czas zamknięte, nawet dla krewnych, przyjaciół, ponieważ córka milionera, po powrocie, rozchorowała się ciężko.

(C. d. n.).

Odkrycie nowych mgławic.

Z tajemnic wszechświata.

Od pięciu lat ludzie pochłonięci zawieruchą wojenną, trapieni brakami aprowizacyjnymi i rozmaitymi innymi, mało lub wcale nie interesują się gwiazdami...

A jednakowoż tam, hen, we wszechświecie dzieją się rzeczy nowe... Astronomowie amerykańscy, którzy więcej mają swobody i możności obserwowania, zajęli na firmamencie nowe terytorya jakby na przekór antyaneksyjnym zasadom Wilsona.

Dotychczas sądzono, że wszystkie widzialne w teleskopie gwiazdy tworzą część tego archipelagu nieskończoności, jakim jest Droga Mleczna, archipelagu, w którym słońce stanowi tylko niewielką wysepkę...

Nowe metody astronomiczne ustaliły fakt, że jest to mniemanie mylne. Istnieją bowiem kategorye gwiazd, nie należące do kompleksu Drogi Mlecznej: są to mgławice spiralne, małe, białe plamy, które teleskop odkrywa rzucone niby śniegi srebrne pośród olbrzymiego ogrodu gwiazd. Każda z takich mgławic tworzy wszechświat osobny z milionami słońc i miliardami planet...

Co się tyczy odległości, dzielącej nas od tych mgławic spiralnych, to śmiesznem i niewykonalnem byłoby chcieć wyrazić to w kilometrach. Tak olbrzymie cyfry nie były dotychczas nigdy używane w matematyce i nie dadzą się właściwie zestawić, trzeba więc w inny sposób dać wyobrażenie, jak zawrotnie daleko są od nas te nieznane światy. Wychodząc z założenia, że promień świetlny przebiega 300.000 kilometrów na sekundę i wykonywa drogę naokoło ziemi w przeciągu jednej ósmej sekundy, że światło potrzebuje ośmiu minut czasu, aby do nas dotrzeć ze słońca, cztery lata, aby odbyć drogę z najbardziej zbliżonej gwiazdy — a przynajmniej dziesięciu do dwunastu tysięcy lat, aby przebyć z przestworów Drogi Mlecznej — to promień świetlny z mgławicy spiralnej potrzebuje siedmiu milionów lat (70.000 wieków), aby odbyć drogę na ziemię!

Zatem być może, że te wszechświaty zgasły od miliard wieków, zanim na ziemi poczęło się życie!...

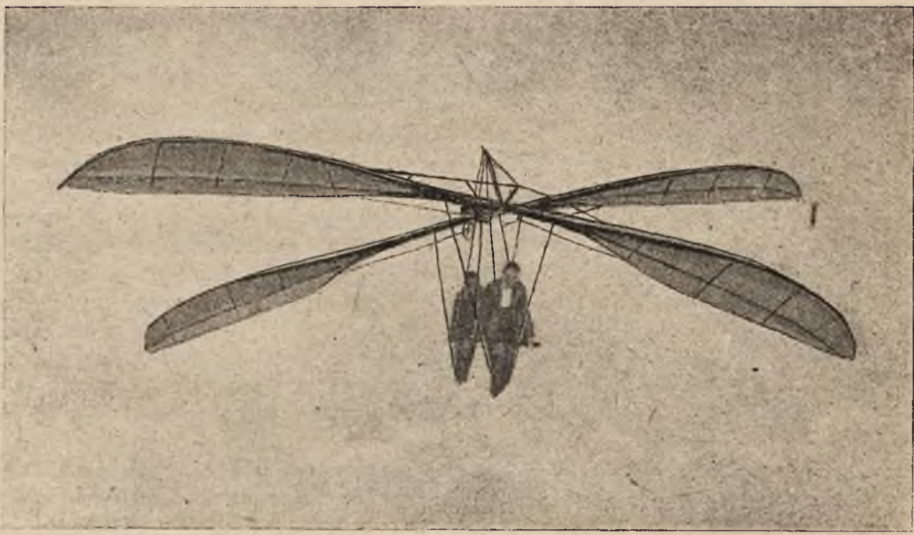
Droga Mleczna, nasza gwiezdna ojczyzna, ten widomy kompleks słońc, jest tylko drobną wysepką pośród niezmierzonego oceanu nieskończoności światów.

Karol Nordmann,
dyrektor obserwat. astronom. w Paryżu.

Samoloty bez motoru.

W październiku tego roku ma być przyznana nagroda Pegout'a pierwszemu człowiekowi, który wzniesie się w powietrze przynajmniej na dziesięć metrów na samolocie, pozbawionym motoru. W tymsamym czasie odbędzie się w Paryżu kongres lotników.

Te dwie manifestacye lotnicze, które przywiodą z pewnością pierwszorzędne siły awiatyczne, dadzą poznać, jakie postępy w lotnictwie dokonały się od 1914 roku, i o ile posunęła się naprzód sprawa komunikacyi powietrznej bez motoru.



Samolot o skrzydłach ruchomych, poruszanych siłą mięśniową samych pilotów, skontruowany przez Alzatczyka Bourcarta.

Dwa istnieją sposoby rozwiązania problemu lotnictwa bez motoru: 1° siła mięśniowa człowieka, 2° lot przy pomocy żagli.

Pierwsze rozwiązanie chce motor zastąpić siłą mięśni człowieka, która ma wprawić w ruch skrzydła maszyny powietrznej. Próby tego rodzaju lotu znane są już oddawna. Świadczy o tem choćby starożytna legenda o Ikarze.

Jak dotychczas, praktyczne rezultaty tych wysiłków są niewielkie... żaden z tych powietrznych cyklistów nie zdołał wznieść się wyżej, niż na 3 m. 50 cm. i próby te mają na razie znaczenie wyłącznie sportowe.

Piętnaście lat temu wynalazca alzacki Bourcart skonstruował maszynę o skrzydłach ruchomych bez motoru, która, jak twierdził jej twórca, wznosiła się na 200 metrów.

Bourcart zmarł w 1912 r. Dalsze doświadczenia okazały się niemożliwe i wynalazek jego poszedł w zapomnienie.

Lot żaglowy bez motoru polega na wyzyskaniu siły wiatru dla celów nawigacyi powietrznej. Ta zasada była podstawą całej współczesnej awiatyki. Prawie wszyscy z pośród pierwszych pionierów lotnictwa, jakoto: Mouillard, Ferber, Wright, próbowali naprzód rozwiązać kwestyę lotu przez zastosowanie żagli. Wprawdzie próby te okazały się bezpłodne, co jednak nie wyklucza wcale, aby przy obecnych postępach techniki współczesnemu wynalazcy drowi Cousinowi nie miało udać się teraz skonstruować aparatu, płynącego przez przestwór powietrzny bez motoru, lub tylko przy pomocy żagli.

Najnowszy model takiego samolotu ma zawierać aparat wytwarzający wiatr, jeśliby powietrze było zupełnie spokojne. Siła jednak tego samolotu jest niewielka, tak, że nie da się on porównać z motorowym aeroplanem.

Muzyka jako środek leczniczy.

Zdawna wiądomą i powszechnie znaną rzeczą jest, że muzyka działa uszlachetniająco na usposobienie człowieka i łagodząco na nerwy. Jednak, dopiero amerykańska lekarka Iza Maud Ilfen wpadła na pomysł posługiwania się muzyką, jako środkiem leczniczym.

Niektórzy kompozytorzy są u niej specyalnie uprzywilejowani. Szubert najlepiej zwalcza bezsenność, Beethoven działa cudownie na histeryę. „Pieśń wiosenna“ Mendelsohna i „Węgierskie tańce“ Brahmsa są najlepszym lekarstwem dla cierpiących na neurastenię i depresyę nerwową. Chroniczny katar żołądka leczy muzyka Chopina, Brahmsa, Sarasotego, a przedewszystkiem Webera „Zaproszenie do tańca“. Nie wszystkie instrumenty nadają się do tej leczniczej muzyki. Wykluczone są: róg, katarynka i wiolonczela.

W dziewiczych krajach Afryki.

„Osa“.

ROZDZIAŁ I.

Dwudziestego piątego czerwca „Osa“, ładująca towary w niewielkim porcie Royan przy ujściu Girondy dla przewiezienia ich na wybrzeża Gabonu, Congo, Loango, Angoli i Bengueli, otrzymała od armatorów swoich w Bordeaux, braci Rontonac, rozkaz wyruszenia pod żagle.

Przez ciąg trzechmiesięcznego stania na kotwicy niejednokrotnie stanowiła ona przedmiot pogadanek w kole łowców sardynek, uczęszczających do portu tego. Zastanawiano się mianowicie nad wysmukłym jej kadłubem, nad bardzo ostrą jej rufą, nad zbyt wyniosłem omasztowaniem i niezwykłą w statku kupieckim zalotnością, z jaką pochylała się ku tyłowi. Burty jej, w których niepodobna jednakże dopatrzyć było najmniejszego śladu strzelnic, piętrzyły się jak na wojennym okręcie. Dwa koła sterowe, z których jedno umieszczone było przed masztem przednim, drugie zaś całkowicie z tyłu pod podstawą żagla wielkiego, wskazywały, że armatorowie przy budowie mieli na względzie możliwość żeglugi przy każdej pogodzie i w okolicach najniebezpieczniejszych. Ładunek mógł wynosić około 15.000 cetnarów, co było rzeczą niezwykłą w statku omasztowanym jako galiota. Na szczycie masztu powiewała gwiaździsta bandera Stanów Zjednoczonych.

Jedna rzecz jeszcze zwiększała podziw marynarzy, zbierających się wieczorem w szynkowniach portowych, a mianowicie, że ani jeden majtek z załogi statku przez cały długi czas przebywania jego w porcie nie schodził na ląd. Co rano tylko, kapitan wsiadał na jeden z parowców kursujących po rzece, udawał się do Bordeaux i co wieczór tą samą drogą wracał nocować na statku. Codziennie można było widzieć porucznika, jak milczący przechadzał się po tylnym pokładzie, kiedy dyżurni pod kierunkiem sternika robili porządek, naprawiając żagle, lub ściany zewnętrzne pokrywali potrójną warstwą smoły z węgla kamiennego.

Wprawdzie ciekawsi usiłowali zawiązać gawędę z kucharzem murzynem, który co rana wyprawiał się po zakupy żywności do miasteczka, ale i ci niewiele wskórali, bo kucharza ani słowa nie rozumiał po francusku, a przynajmniej nie opowiadał nigdy na zapytania czynione w tym języku — co mu jednak nie przeszkadzało być wcale sprytnym przy kupnie, za pomocą owego narzecza ogólnego, które streszcza się w trzech wyrazach: frank, dollar i szyling. Skończywszy zakupy, kazał on przenosić je na małe czółenko, które marynarze ochrzcili oryginalnem mianem p o c z t y k a p u ś c i a n e j, i zręcznie wiosłując, stawał niebawem przy statku, gdzie go natychmiast wraz z czółnem wciągano blokami. Coby byli mówili dopiero poczciwi rybacy Royanu, gdyby się dowiedzieli, że statek tajemniczy, którego papiery najautentyczniej stwierdzały amerykańską narodowość, posiadał załogę kosmopolityczną, a dowodzony był przez Francuza rodem z Luizyany, kapitana Le Noël.

Po najdziwaczniejszych przypuszczeniach, ciekawość publiczna uspokoiła się ostatecznie dla braku materyału; ci jednak i owi zgadzali się wszakże na jedno, że statek cudzoziemski, przy kształtach wysmukłych swoich, przy szczupłym a wydłużonym kadłubie, masztach wysokich, jak na korwecie, przy rozmiarze i ilości swych żagli, musi być pierwszorzędnym biegunem, i że niezwyczajną wcale rzeczą było spotkać podobne zalety kształtów i szybkości wśród skromnych brzegowców, prowadzących handel wymienny na wodach Senegambii i Congo.

Pewnego dnia, z pół tuzina galarów ciągnionych przez holownik uszykowało się wzdłuż boku galioty, i zaczęło spuszczać w głębie jej kadłuba masę towaru wyprawianego zwykle na brzegi afrykańskie: rumu, lusterek, żelastwa, nożów, paciorków, puszek po sardynkach, odzieży z galonami dla naczelników murzyńskich, fajek drewnianych i glinianych, wędek, sieci itp. Powoli O s a pogłębiała się w wodę po odpowiednią linię obciążenia, ładowanie odbyło się szybko, a z odpłynięciem ostatniego galaru gotową była do wypłynięcia z portu za pierwszym sygnałem.

Pewnego rana, w przeddzień wyjazdu, kapitan Le Noël, wysiadłszy na wybrzeżu Bacalan, udał się wedle zwyczaju do składów armatorów swoich. Zaledwie się ukazał, kiedy Rontonac starszy dał mu znak, aby się udał za nim do gabinetu.

Drzwi zamknęły się szczelnie za nimi, a negocyant do marynarza odezwał się w te słowa odrazu:

— Kapitanie, mamy czterech pasażerów wysadzić w Gabonie.

— Czterech pasażerów, panie Rontonac! — szepnął ostatni niesłychanie zdziwiony — ależ pan wiesz dobrze...

— Pst! — syknął armator, kładąc palec na ustach — nie mogłem się uwolnić od tego. Odebrałem urzędowe wezwanie jeneralnego komisarza marynarki, a najmniejsze zawahanie się stwierdziłoby podejrzenia, które przy pierwszej sposobności głośno się odezwą.

— Nikt nie wie, że O s a waszą jest własnością, bo w księdze okrętowej figuruję ja, jako właściciel i kapitan: statek zbudowany był w Nowym Orleanie, gdziem się urodził z rodziców Francuzów, ale naturalizowanych Amerykanów: żegluję pod banderą gwiaździstą: w oczach wszystkich pan wynająłeś tylko mój statek, nikt więc nie ma prawa narzucać nam pasażerów. Widzisz pan zatem, że popełniłeś błąd gruby, który kosztować cię może od pięciuset do sześciuset tysięcy franków, a mnie z całą załogą wyprawić na szczyt wielkiej rei fregaty angielskiej.

— Powtarzam panu, że inaczej zrobić nie mogłem. Czy wiesz pan o tem, że jesteśmy ekspedytorami poczty i przesyłek między Bordeaux a koloniami francuskiemi na oceanie Spokojnym?

— Nie widzę stosunku, jaki zachodzić może między...

— Pozwól mi pan dokończyć. Administracya marynarki w kontrakcie, jaki z domem naszym zawarła, zastrzegła sobie prawo pomieszczenia, za opłatą umówioną z góry, pasażerów swoich, żołnierzy i urzędników kolonialnych, na wszystkich statkach, które wyprawiamy do innych części świata, w stosunku dwóch ludzi na każde 2.500 centnarów ładunku: ponieważ O s a unosi 15.000 centnarów, rząd ma przeto prawo narzucenia nam dwunastu pasażerów, a nie czterech.

— Ależ panie Rontonac, trzeba się było panu zasłonić swojem pozornem stanowiskiem prostego dzierżawcy w tym razie.

— Oświadczyłem im w rzeczy samej, że statek nie jest moją własnością, ale ręczę za zgodę pańską.

— Otóż bawimy się w jakieś zagadki. Przyznaję, że nie rozumiem pana.

— Słuchaj mnie kapitanie. Jesteś za rozumny, żebyś mnie nie pojął, o co mi chodzi. Co dwa lata O s a w Royan zabiera swój ładunek z tem samem przeznaczeniem. Otóż zaczynają tu szemrać, że w ciągu tych długich wycieczek nikt jej jeszcze nie spotkał dotąd na brzegach Congo i Angoli. Tym razem potwarz, wzmagając się bardziej...

— Och! powiedz pan raczej, obmowa — przerwał uśmiechając się Noël — jesteśmy sami.

— Zapewne, dobrze pan mówisz — ciągnął dalej Rontonac — dajmy na to, obmowa!... Chciałem tedy po mistrzowsku odpowiedzieć na nią, przyjmując pasażerów. Wczoraj, kiedy rozlepiano na giełdzie zawiadomienie o godzinie odjazdu, mogłem się już przekonać, że środek ten wywarł wpływ wyborny.

— Może pan masz i słuszność. Mniejsza o to. Gramy o grubą stawkę.

— Wszystko dobrze się załatwi przy odrobinie rozwagi. Któż panu zabrania wysadzić tych poczciwców w Gabonie, a następnie w dalszą puścić się drogę?

— Będę miał do zwalczenia niesłychane trudności, których pan przewidywać się nie zdajesz. Jeżeli kształt szczególny i urządzenie wogóle statku mojego mogło tu wzbudzić niejakie

podejrzenia, to na morzu jest stokroć gorzej, kiedy Osa cała pokryta żaglami pędzi pod wiatr z szybkością średnią dwunastu węzłów na godzinę, bo oko marynarza złudzić się nie daje. Rozumie on doskonale, że ma przed sobą nie owego ślamazarę handlowego, co wlecze się po olej palmowy i rogi bawole. Niebezpiecznem więc jest zbliżanie się do brzegów strzeżonych przez parowce angielskie i francuskie, mianowicie wobec tego potwornego prawa rewizyi, które sobie przywłaszczyły marynarki wojenne. Pan wiesz równie dobrze, jak ja, na co bylibyśmy narażeni. Nie ukrywa się bezkarnie na spodzie okrętu dwunastu dział żłobkowanych siedmiocalowych, karabinów, apteki wystarczającej dla czterystu ludzi, a co gorsza, kompletnego doboru łańcuchów nie wyglądających na wiązadła dla wołów — a ta machina śrubowa ukryta obok komory zawsze pełnej węgla!... A te kółka żelazne wbite w ściany pod fałszywym pokładem!... Czy pan sądzisz, że najgłupszy oficer marynarki angielskiej nie odgadłby ich przeznaczenia?

— A nie mógłbyś ich pan usunąć tymczasowo?

— Na coby mi się to zdało, kiedy zostanie jeszcze dwadzieścia razy więcej, niż potrzeba, aby mnie posłać na szubienicę ze wszystkimi moimi ludźmi. Pierwszą rzeczą, o jaką statek strażniczy się pyta, jest świadectwo ubezpieczenia — wie on bowiem dobrze, że okręty podejrzane formalności tej poddać się nie mogą. Jeżeli mu się tedy odpowie, że statek nie jest asekurowany, to natychmiast następuje rewizya od rufy do szczytu masztowego. Na morzu unikam spotkań fatalnych, bo nie trzymam się dróg uczęszczanych: zresztą mam przestwór przed sobą... a pod względem szybkości, przy śrubie mojej nie lękam się nikogo. Ale zbliżając się do linii nadbrzeżnych, jestem pewien prawie spotkania, a gdybym w chwili wysadzania pasażerów, lub zanim wydostanę się na pełne morze, został pochwycony, nie ulega prawie wątpliwości, że Osa nie ujrzałaby już nigdy portu w Royan. Wiadome są panu wszystkie gonitwy zajadłe, na jakie bywałem wystawiony; mam zwrócone na siebie oko wszystkich marynarek wojennych, chociaż dotąd nie wiedzą, co sądzić o nazwisku i narodowości statku...

Wierzaj mi, panie Rontonac, nie tęgo się spisałeś. Bylibyśmy taką ładną zrobili podróż. Król Gobbi w Bengueli przyrzekł mi ku końcowi października dostarczyć czterysta sztuk hebanu, a pan wiesz, że w Brazylii obecnie sztuka w sztukę warte są one po trzy tysiące franków.

— Niestety! — westchnął Rontonac — a przypuściwszy, że woda morska ze sto ich uszkodzi, to i tak jeszcze mielibyśmy milionik w zysku.

— A ja, który spodziewałem się wycofać z interesu za powrotem i osiąść uczciwie w wiosce, którą sobie kupiłem na brzegach Missisipi!

— W istocie, miała to być ostatnia podróż pańska. Interesa dziś idą tak twardo!

— Ostatecznie, co się stało, to odstać się nie może. Więc kiedy cofnąć się nie czas, trzeba myśleć o sposobach wydobycia się z kłopotu; dla pana bez straty statku i towaru, dla mnie bez nałożenia głową.

— Boże dobry! toć sami może tworzymy sobie strachy. Któż zaręczy, czy udając się otwarcie do ujścia Gabonu, nie będziesz pan mógł następnie...

— Nie chcę się narażać na to.

— Więc cóż zrobić?

— Mam mój projekt. Byle tylko pasażerowie pańscy stanęli na miejscu, wszystko panu jedno, nieprawdaż, kiedy to zrobią i w jaki sposób?...

— Zapewne — z warunkiem jednakże...

— Żeby stanęli.

— Otóż to właśnie.

— Zaręczam za nich.

— I za skutek podróży?

— I za skutek podróży z całym jej zyskiem; ale czy po tem wszystkiem napewno się rostaniemy?

— Daję słowo. Skoro Osa wróci do Royanu, wyślę ją na połów stokfiszów do Newfoundlandlu.

— Jeśli pan posłuchać mnie zechcesz, upoważnisz mnie do sprzedania statku w Brazylii, to będzie rozsądniej.

— Zgoda; w istocie lepiej będzie, żeby tu nie wracał.

— Panie Rontonac, jeśli pan nie masz mi nic więcej do powiedzenia, to mam zaszczyt pożegnać pana.

— Czy papiery wszystkie panu przysłano?

— Brat pański osobiście tem się zajął, byliśmy razem u mego konsula.

— Jesteś więc pan w porządku?

— Najzupełniej.

— O której godzinie pasażerowie mają przybyć na pokład?

— Dziś przed północą, jutro bowiem mam zamiar wyruszyć o świcie.

— Słowo jeszcze. Skoro pan sprzedasz ładunek hebanu, złożysz pan pieniądze, jak zwykle u Souzy de Rio, zatrzymawszy część swoją i załogi, a przekaz mnie pan nadeślesz.

— Zrobię jak dawniej.

— Dobrego powodzenia, kapitanie!

— Dziękuję, panie Rontonac.

Po tych słowach kapitan Le Noël wrócił na wybrzeże z zamiarem udania się na statek. Żując resztki zgasłego cygara, mruknął pod nosem:

— Otóż pasażerowie, którzy piękną odbędą podróż...

Nazajutrz o wschodzie słońca Osa, chyża jak jaskółka szybująca nad stawem, pędziła pod pełnemi żaglami przez wody zatoki Gaskońskiej.

ROZDZIAŁ II.

Firma „Bracia Rontonac i Spółka“.

Rontonacowie, kupcy i amatorowie, zamieszkiwali z dziada pradziada na wybrzeżu Bacalan od dwóch wieków. Firma ich zmieniła się co pokolenie. Zwała się ona albo „Rontonac starszy“, to „Rontonac i synowcowie“, raz nawet nosiła godło „Rontonac wdowa i syn“, ale nigdy nie wychodziła z rodziny. Zstępni i poboczni prowadzili ją do spółki, pozostawiając kierunek interesów i podpis najzdolniejszemu pomiędzy siebie. W licznych kantorach posiadanych po całym świecie, czy w magazynach na wybrzeżu Bacalan, było dosyć miejsca dla wszystkich synów, braci, synowców czy siostrzeńców. Wszyscy dysponenci i kapitanowie byli Rontonacami z urodzenia lub powinowactwa, a Rontonacowie po kądzieli niemniej dobrze jak po mieczu widziani byli, bo firma ta nie uznawała prawa salickiego.

Kiedy Rontonac starszy o czcigodnem obliczu, okolonem długimi włosami białymi, zajmował pierwsze miejsce przy stole obiadowym, miał wokoło siebie z kopę Rontonaców, nie licząc tych, co dowodzili na morzu lub kierowali kantorami po całym świecie, gdzie tylko można było coś sprzedawać lub wymieniać.

Rodzina Rontonaców była potęgą, państewkiem, posiadającem swego króla, swoich ministrów, swoją radę do wielkich interesów, swoją administracyę, swoich urzędników, wreszcie drobne rybki czyli pospólstwo, swoich żołnierzy i swoją marynarkę.

Same faktorya ich nad Zambezi bronione były przez oddział dwustu murzynów na żołdzie firmy, których przeniosła z Congo na wybrzeże wschodnie, gdzie nieźle wyglądali przy krajowcach Mozambiku, nienawidzonych przez siebie jako potomków rasy niższej.

Marynarka jej handlowa, składająca się z trójmasztowców, klipperów szybkonośnych, brygów, brygów-galiot i galiot, kuterów i szalup rzecznych, liczyła przeszło sześćdziesiąt żagli; aktywa jej, według ostatniego inwentarza, przenosiły ośmdziesiąt milionów — pasywa równały się zeru. Ludzie winni byli firmie Rontonac, ale firma Rontonac nikomu. Patryarchalna ta rodzina, żyjąca jako gens starożytna pod zwierzchnictwem jednego, podtrzymująca z zawistną starannością wszystkich krewnych swoich, nie wyciągnęłaby wszakże ręki poza stół swego kantoru dla ocalenia tonącego obcego — kierowała się sobkostwem straszliwem — nikomu nie oddawała usług i nie żądała ich od nikogo. Wypełniając zobowiązania swoje z najściślejszą skrupulatnością, nie wchodziła z nikim w żadne układy.

(C. d. n.).

Figle duchów.

Dziwy w Aberdeen. Upiór organistą. Niezbadana tajemnica. Co mówi wikary.

W ustronnej wiosce angielskiej Aberdeen stoi starożytny kościół parafialny, w którym od niepamiętnych czasów dzieją się rzeczy nadzwyczajne: Organy stojące na chórze zaczynają niekiedy grać same w różnych nieprzewidzianych godzinach, a wówczas rozchodzi się dokoła dziwna melancholijna muzyka, nie podobna do żadnej innej. Dzieje się to zwykle wtedy, gdy kościół jest zamknięty i za każdym razem oczywiście ludzie spieszą do wnętrza kościoła, aby się przekonać, czy się tam kto nie zamknął; nigdy jednak nikogo nie znaleziono. Ludzie okoliczni są przekonani, że to upiór czyli duch jakiejś dawno zmarłej osobistości powraca do Aberdeen dla zabawiania się muzyką. — Zjawisko to zresztą powtarza się od kilkudziesięciu lat i notowane było w archiwach kościelnych jeszcze w zeszłym wieku. — W ostatnich latach organy zaczęły grać coraz częściej i sława tego dziwnego zjawiska dotarła do Londynu, zjechali więc do Aberdeen reporterzy różnych dzienników, by zbadać rzecz na miejscu. Ogany nie grały wprawdzie przy nich, bo duchy nie popisują się na rozkaz, ale wikary opowiadał, że słyszał kilkakrotnie tajemniczą muzykę i starał się odnaleźć jakieś realne przyczyny, lecz nie mógł dojść ich źródła. Muzyka milknie zwykle skoro się wchodzi do kościoła. Nie zależy od organów, bo niedawno właśnie sprawiono nowe, lecz duch nie gardzi nimi i grywa na nich równie chętnie jak wpierw na starych. Wprawdzie wioska cała i kościół leżą w długiej dolinie i bardzo podatnej dla echa, lecz bądź co bądź ktoś musi grać, aby wywołać echo. Wikary, człowiek oświecony i wcale nie zabobonny, oświadczył reporterom, że sam nie wie co ma o tem myśleć. Jeśli to jakiś figiel, to w każdym razie trwa już zbyt dawno, więc rola figlarza pzechodzi chyba z ojca na syna. Jest setki ludzi we wsi, które słyszały samogrające organy i mogą o tem świadczyć. Muzyka ta jeszcze ma w sobie to szczególnego, że nie rozchodzi się w jednym kierunku, lecz daje się słyszeć to z jednej, to z drugiej strony kościoła; zależnem to jest może od kierunku wiatru. Na razie muzyka w Aberdeen pozostała tajemnicą jedną z tych, o których nie śniło się filozofom.

Hypnoza wojenna.

Niemi mówią, głusi słyszą. — Zmartwychwstanie pamięci.

Jeden z lekarzy wojskowych w Anglii, zdawał sprawę na dorocznem posiedzeniu naukowem z cudownego działania hypnozy. Będąc na froncie uleczył on za pomocą suggestyi 140 wypadków, w których żołnierze utracili słuch, mowę, lub pamięć skutkiem nerwowego wstrząsu, spowodowanego rykiem dział lub wogóle grozą wojennych impressyi. Lekarz ów usypiał pacyentów, a potem podsuwał im suggestywnie myśl, aby starali się przypomnieć wszystkie szczegóły bitwy czy kanonady, która ich pozbawiła słuchu lub mowy. Śpiący próbował we śnie opowiadać dzieje swojej przygody — mruczał coś niewyraźnie, był niespokojny, wreszcie wydawał głośny okrzyk i budził się uleczony. Pacyenci opowiadali następnie, jak próbowali we śnie uprzytomnić sobie całą historyę. Widzieli się w okopach, powtarzali otrzymane rozkazy, a wreszcie ogarniała ich nieprzeparta chęć wydania z siebie głosu, któryby naśladował huk strzału. Ta chwila była zwykle decydująca. Wysiłek jaki ponosili w tym momencie, był tak wielki, że krzyk wydzierał się im z gardła i odzyskiwali mowę. W ten sam sposób udawało się lekarzowi przywracać pamięć tym, którzy ją utracili.

„Naokoło śmierci“.

Pod takim tytułem wygłosił w kilku większych miastach Polski odczyty wielki pisarz i oryginalny myśliciel Stanisław Przybyszewski, w których kusił się o rozwiązanie lub chociażby rozjaśnienie przelicznych, tajemniczych, a wiecznie pociągających zagadnień śmierci na podstawie badań i wierzeń okultyzmu.

Najciekawszy był ten moment odczytu, w którym świetny pisarz starał się o wyjaśnienie różnorodnych zjawisk tajemniczych, znanych nam bądź z historyi, bądź seansów współczesnych, jak cudów, czarów, egzorcyzmów, objawów somnambulizmu i spirytyzmu za pomocą jednolitej i ciekawej teoryi ciała eterycznego i siły życiowej (zoeteru), która istnieje w każdym człowieku w postaci niesłychanie subtelnej materyi, przenikającej cały wszechświat.

Teoryę powyższą Przybyszewski łączy w sposób bardzo ciekawy z najnowszemi odkryciami w dziedzinie radyoaktywizmu, polaryzacyi organizmów i zjawisk elektro-magnetycznych.

Według prelegenta, chwila śmierci jest momentem oderwania się od ciała fizycznego jego ciała eterycznego, jest zerwaniem ostatecznem taśmy fluidalnej, łączącej oba ciała. Ciało eteryczne z kolei samo ulega rozkładowi, wyłaniając z siebie ciało astralne. Śmierć jest szeregiem procesów przetwarzania form niższych na wyższe; rozkład jest tu tylko pozorny.

Śmierć jest najwyższem szczęściem.

Na ten temat wygłosił Conan Doyle w Portsmouth odczyt w sali przepełnionej słuchaczami, których długie szeregi czekały prócz tego pod drzwiami łowiąc chciwie każde słowo prelegenta. Conan Doyle, jak wiadomo, obcuje już od dłuższego czasu z duchami i, jak twierdzi, zapoznał się już doskonale z trybem życia, jaki prowadzą ludzie po śmierci. Jest to życie doskonalsze od naszego, które zatrzymuje wszystkie dobre strony doczesnego bytu, a odrzuca wszystko złe i bolesne. Duchy są szczęśliwsze od nas. Wiedzą daleko więcej — a przedewszystkiem nie są dręczone obawą śmierci, która zatruwa życie wielu ludziom, bytującym na ziemi. Gdyby ludzie wiedzieli, jak dobrze jest po śmierci, nie obawialiby się wcale chwili zgonu.

Zdobywcy pereł.

Poszukiwacze skarbów dawniej a dziś. W królestwie pereł. Trudności połowu. Nieufność Arabów. Brud i niewygody w gnieździe poławiaczy pereł. Arabska uczciwość. Niebezpieczeństwo chorób. Nad Oceanem Spokojnym.

Od najdawniejszych czasów poszukiwacze skarbów, zdobywcy „złotego runa“ dostarczali ludziom spokojnie osiadłym silnych wzruszeń przez opowiadanie swych przygód. W wiekach minionych szlachetna chciwość wiedzy i brutalna żądza materyalnych skarbów walczyły ze sobą w takich wypadkach o palmę pierwszeństwa. Bardzo wiele odkryć geograficznych miało za podstawę i punkt wyjścia namiętne pragnienie zdobycia bogactw przez jakąś przedsiębiorczą, energiczną jednostkę. Ale powoli potężne finansowo towarzystwa prywatne lub państwowe wzięły w posiadanie kopalnie dyamentów, pokłady złota; olbrzymie trusty zmonopolizowały dziedzinę wydobywania i Juliusz Verne prawdopodobnie byłby teraz w kłopocie, gdyby mu przyszło znaleźć wzór do postaci awanturnika, szukającego złota lub dyamentów, z którego przygód możnaby wysnuć powieść fantastyczną.

Jeżeli jednak w przeszłości przynajmniej mieliśmy opisy mniej lub więcej dokładne przygód, zdarzających się przy wydobywaniu złota, dyamentów, to brakuje prawie zupełnie opowiadań o zdobywaniu pereł...

A jednak perły, cenniejsze jeszcze nieraz, niż dyamenty, przyciągały zawsze wielu zdobywców skarbów. Perła, ukryta w łonie mórz tropikalnych, trudniejszą jest do zdobycia, niż inne klejnoty. Połów pereł to praca niezwykle ciężka. Pokonać te trudności — to wygrać wielki los na loteryi.

Coprawda rozmieszczenie ławic perłowych jest po większej części znane od setek lat. Nurkowie wiedzą w jakiej części Oceanu kryją się muszle perłowe, strzeżone przez potwory głębin morskich. Ale niełatwo jest je odnaleźć. Przypomina się owa bajka arabska, w której bohater widzi w jaskini nagromadzone skarby, nie mogąc się ich dotknąć.

Trudności spiętrzone przez samą przyrodę nie są jedynemi, które zagradzają drogę europejczykowi do królestwa pereł. To właśnie tłómaczy fakt, że przez tyle wieków zawód poławiacza pereł był niejako zmonopolizowany. Albowiem mozoły przy zdobywaniu zdolne są zniszczyć w ciągu kilku lat nawet bardzo silny fizycznie organizm, a rezultaty bardzo często nie opłacają ani wysiłków poławiacza, ani kosztów ponoszonych przez przedsiębiorcę.

Wszyscy oni są ożywieni nadzieją zdobycia pięknych pereł, a rzeczą bardzo trudną jest odrazu wartość wyłowionego skarbu ocenić. Znawcy pereł nawet na rynkach europejskich są nieliczni, a kto życie swoje naraża w pogoni za lśniącą królewną mórz — bardzo często pozbawiony jest zmysłu krytycznego i sprzedaje wkońcu klejnot za jakąbądź cenę handlarzowi, który może dziesięciokrotny wyciągnie z tego zysk.

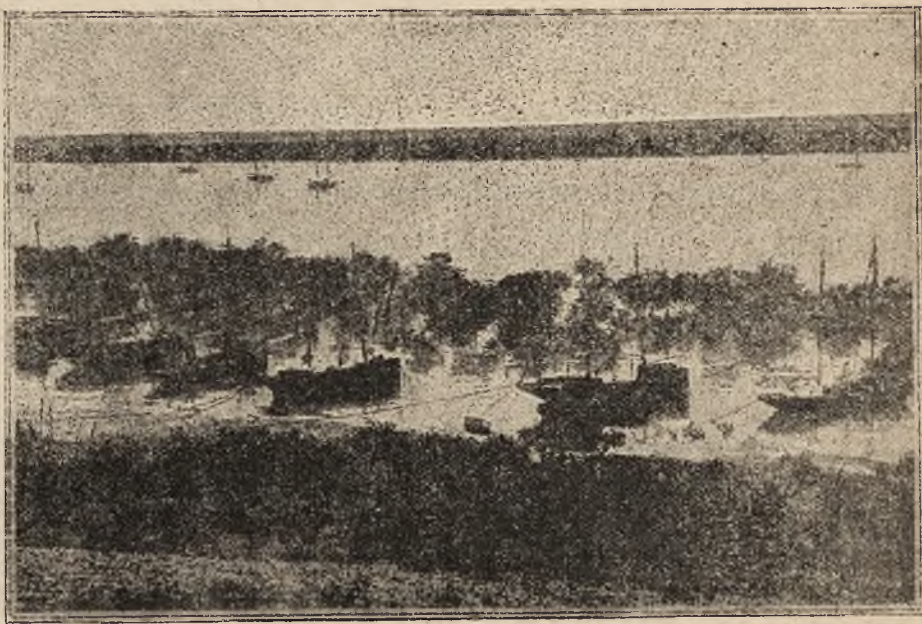
Naogół niewielu europejczyków próbowało mozolnego, pełnego niebezpieczeństw rzemiosła poławiacza pereł. Było jednakże kilku śmiałych, energicznych ludzi, którzy lekceważąc sobie niebezpieczeństwo nieuniknionej prawie choroby wątroby lub nerek udawali się do zatoki Perskiej, do Panamy, do Wenezueli i innych miejsc, znanych z ławic perłowych, aby tam budować gmach swego majątku. Dzięki im wiemy teraz, co to znaczy pobyt w królestwie pereł, za jaką cenę zdobywane są lśniące białe lub bladoróżowe kulki, zdobiące później śnieżne szyje bogatych kobiet.

W Bahrein w zatoce Perskiej niedaleko od wybrzeża Arabii znajdują się najbogatsze ławice muszli perłowych. I tam to właśnie mniej, niż gdziekolwiekindziej europejczyk może się zaklimatyzować. Arabowie uważają połów pereł za swój nienaruszalny przywilej. Naogół uprzejmi, gościnni, z drugiej strony są niezwykle zazdrośni o swe prerogatywy i biada temu, kto chciałby z nimi współzawodniczyć.

Kupiec, który wylądowawszy w Bahrein z zamiarem zakupna pereł, spodziewałby się, że mu je Arabowie pokażą, mógłby czekać długo. Jeśli wogóle je zobaczy, to w bardzo małej ilości i z trzeciej ręki, najczęściej przy pomocy hinduskiego pośrednika. Ażeby wzbudzić ufność u Araba, zbliżyć go do nieznanego człowieka — trzeba czegoś nadzwyczajnego, coby uderzyło jego wschodnią wyobraźnię.

Przekonywującym jest taki oto przykład:

Pewien kupiec francuski przyjeżdżał do Bahrein trzy lata z rzędu, a nie pokazano mu ani jednej perły. Nie zniechęcał się wszakże; w czwartym roku wpadł na pomysł, który się okazał bardzo skutecznym. Wziął ze sobą kilkanaście tysięcy franków, sumę zbyt małą dla przeprowadzenia poważniejszej tranzakcyi; ale suma ta zamieniona na pięćdziesięciocentimowe monety zapełniła cały szereg skrzyń, transportowanych na grzbietach dwunastu osłów! Żywa wyobraźnia Arabów została poruszona tą defiladą, która zwyciężyła ich nieufność i skłoniła do pokazania pereł.



Mała flotyla łodzi, wyruszających na połów pereł na jednej z rzek australijskich.

Tensam kupiec podaje następujące szczegóły o trudach i niewygodach swej podróży w pogoni za perłami.

„Port i cała miejscowość Bahrein są poprostu okropne. Na piaskach małe, nizkie, brudne lepianki. Europejczyk nie ma gdzie mieszkać. Słońce — bez ochrony jakiegokolwiek cienia — praży nielitościwie... Nawet noce są duszne i upalne... Śpi się na dachach domów, snem niespokojnym, czoło mając skąpane w pocie... Człowiek budzi się rano ociężały i zmęczony... Kilka miesięcy takiej egzystencyi może skrócić życie przeciętnego europejczyka o kilkanaście przynajmniej lat. Wody słodkiej brakuje kompletnie. Myć się trzeba wodą morską. Ci, którzy nie przywożą ze sobą dostatecznej ilości wody mineralnej, narażają się na najstraszniejszą z chorób. Przez picie za-

pleśniałej, stojącej wody powstają w organizmie drobne robaczki, wydostające się na powierzchnię wszystkiemi porami ciała... Choroba ta — to niechybna śmierć w przeciągu krótkiego czasu. Sześć lat temu pewna pani z Europy odważyła się wraz ze swą córką na podróż do Bahrein. Cierpienia, które musiały znieść te kobiety, trudne są do opisania. W przeciągu trzech miesięcy mieszkały na małej barce rybackiej, prowadząc istne życie galerników, a ostatecznie nie zobaczyły wcale pereł!

Jedynym środkiem do złagodzenia ciężkich warunków życia w gnieździe arabskich poławiaczy pereł, jest obdarowanie wszystkich mieszkańców, a przedewszystkiem szeików, wytworami europejskiej produkcyi fabrycznej. Dla szeika najmilszym podarunkiem byłaby strzelba, albo nawet armata, ale niestety są to rzeczy trudne do przewiezienia i pociągane zresztą pod pojęcie kontrabandy wojennej. Te podarki, służące do rozpraszania nieufności tubylców, nie zabezpieczają bynajmniej cudzoziemca od tego, że zrujnuje albo poderwie firmę, dla której czyni zakupy.

Inny podróżnik francuski, dobrze znający stosunki arabskie, powiada:

„Arab nie jest nieuczciwym w szablonowem tego słowa znaczeniu, to jest nie wyciągnie sakiewki z kieszeni sąsiada... Natomiast nie zawaha się sprzedać perły, która warta jest najwyżej dziesięć tysięcy, za pięćdziesiąt lub sto tysięcy... Koran nie zabrania swym wiernym ciągnąć wielkich zysków handlowych. Zresztą sprytny Mahometanin umie zręcznie obchodzić przepisy koranu odpowiednio do okoliczności.

Jednakowoż, to trzeba przyznać, że kradzieże są rzadkie i europejczyk narażony jest na rabunek tylko w tym wypadku, gdy jadąc barką, natknie się na piratów, t. j. na rozbójników morskich.

Należy to do zwyczaju, że kupiec skoro ubił większy interes, urządza ucztę dla szeika i wszystkich mieszkańców Bahrein. Kilkuset biesiadników zasiada do uczty na rozesłanych wzdłuż głównej ulicy suknach. Gromadzie tej rozdziela się 50 pieczonych baranów, olbrzymi placek z rodzynkami, kosze ciast, cukrów, daktyli i t. p., a wszystko to popija się czystą wodą z cukrem. Dla europejczyka festyn ten o tyle jest atrakcyjnym, że oznacza koniec jego cierpień i trudów.

W innych centrach „perłowych“ życie płynie podobnie. Wszędzie straszliwy upał, brak wody do picia, niebezpieczeństwo chorób... Co dwa lub trzy lata dżuma i cholera sroży się w Bahrein, żółta febra w Panamie i w Ameryce Południowej, a wszędzie czerwonka.

We wszystkich tych okolicach pejzaż prawie identyczny: bezmiar morza i łany piasku, prażonego słońcem, bez odrobiny zieleni. Wszędzie na pożywienie składają się prawie same konserwy, zepsute z powodu gorąca.

Wreszcie wspomnieć należy o tem, że otwarte mięczaki psują się szybko i zatruwają powietrze cuchnącymi wyziewami. Aby tę przykrą woń zabić, europejczycy oddają się nadmiernie nałogowi palenia tytoniu, co stanowi nowe niebezpieczeństwo dla organizmu.

W Costa Rica na wybrzeżu Oceanu Spokojnego przedsiębiorca europejski o tyle jest w lepszych warunkach, że nie ma do czynienia z tubylcami, ale ze zbiegami z Meksyku ,którzy uciekli z ojczyzny, popełniwszy jakieś przestępstwo. Oni to chwytają się rzemiosła nurków. Odznaczają się zarówno wielką odwagą, jak ogromnym pociągiem do alkoholu... Zarobek cały przepijają i wogóle reprezentują żywioł bardzo niespokojny, trudny do utrzymania w ryzach.

W Panamie europejczyk może sam puścić się na połów pereł, przy użyciu skafandrów [1]), których w Bahrein nie mogliby spożytkować bez wywołania rewolucyi wśród tuziemczej ludności.

Zato klimat Panamy jest morderczy. Ławice perłowe w Wenuzueli znajdują się na wyspie Małgorzaty. Kraj ten ulegający ciągłym wstrząśnieniom wulkanicznym, dołącza do innych niebezpieczeństw plagę wampirów i niebezpieczeństwo zaplątania się w politykę... Człowiek przybyły na zdobycie pereł z łatwością przy pierwszej lepszej sposobności może być posądzony o sprzyjanie jednej lub drugiej partyi politycznej i przez przeciwników dotkliwie obity, albo — bo i to bywa — zastrzelony...

Jednem słowem o przygodach zdobywców pereł pisaćby można tomy... Widzicie zatem, piękne panie, że perły, których subtelny blask tak bardzo podnosi waszą urodę — zdobywane są w kraju tajemnic i okropności... Gdyby umiały mówić, ileżby historyi ciekawych, grozą przejmujących, lub wzruszających opowiedzieć mogły.

Perły — to białe królewny morza — do których droga równie jest niebezpieczeństw pełna, jak wyprawa do zaczarowanego zamku na Szklanej Górze.

[1]) Specyalnie skonstruowane ubranie nurka.

W kraju rubinów.

Rubin jest obecnie jednym z najmodniejszych pośród drogocennych kamieni, a jeśli ma piękny blask i dobrą wagę, to niejednokrotnie stawiają go wyżej od dyamentu. Od dawna już zresztą rubiny należały do ulubionych i wysokocennych kamieni. W 1791 r. w królewskim skarbcu we Francyi, znajdowała się piękna kolekcya składająca się z osiemdziesięciu niezwykle wielkich rubinów. Największy rubin w Europie, wielkości gołębiego jaja, był własnością carskiego skarbca w Petersburgu. Podarował go carowej Elżbiecie szwedzki król Gustaw Adolf. Gdzie ten wspaniały kamień obecnie podział się — niewiadomo, zapewne skradziono go, tak, jak i wszystkie inne wartościowe przedmioty.

Najpiękniejszych rubinów jednak nie w Europie, ale w Azyi szukać należy. Szach perski posiada rubin o wadze 175 karatów, a jeszcze większy t. z. „król rubinów“ znajduje się w posiadaniu króla Birmy. Azya wogóle, a Indye w szczególności są krajem, gdzie najwięcej znajduje się rubinów. Birma i Ceylon dostarczają światu najpiękniejszych, purpurowych, jak krople krwi serdecznej kamieni. Na Ceylonie, gdzie rubiny wydobywa się razem z szafirami, najsławniejsze kopalnie są w Katnapura i Konkana.

Proces dobywania rubinów z ziemi, nie wymaga specyalnych wysiłków. Wystarczy odrzucić ziemię na kilka metrów głębokości, aby natrafić na gliniastą warstwę marglów, którą tuziewacy nazywają „illam“. Wydobywszy tę warstwę na wierzch, przemywa się ją poprostu w rzece. Dalsza obróbka odbywa się bezzwłocznie według zasad wielce prymitywnych. Poszukiwacze rubinów, starają się przedewszystkiem o to, aby rubin osiągnął jaknajwiększą wagę choćby kosztem piękności kształtu. Dlatego też rubiny, które dostają się do Europy, muszą być poraz drugi oszlifowane. W Birmie wydobywanie rubinów najważniejsze rozmiary przybrało w prowincyi Mogok. Pokłady rubinów o mniejszej wartości, znajdują się także w Afganistanie, a poza granicami Azyi na Madagaskarze gdzie w szlamistej ziemi na wybrzeżach rzek jest ich względnie bardzo dużo.

Wspaniały wybuch ropy naftowej.

Nieprzebrane skarby ropy naftowej, które w swem łonie kryje Galicya — ujawniły się niedawno na terenach krośnieńskich

W jednym z szybów, w którym zgoła nie przypuszczano istnienia większych zapasów ropy, w Krościenku Niżnem, wybuchła ropa w ilości tak olbrzymiej, że gasi najwydatniejsze

dotychczasowe szyby w Borysławiu i Schodnicy.

Szyb ten, 411 metrów głęboki, ma produkcyę wybuchową w ilości kilku wagonów dziennie doskonałej ropy benzynowej. Są dni, w których produkcya ta zwiększa się tak, że szyb ten należy do najlepszych obecnie w całej Małopolsce.

Stwierdzenie takiego bogactwa na tym terenie ma doniosłe znaczenie praktyczne, albowiem szyb ten leży na sławnym pasie naftowym t. zw. „potockim“ (od znanej, bogatej kopalni w Potoku koło Krosna), ale już właściwie w obszarze, co do którego panował pomiędzy nafciarzami dziwny przesąd, jakoby cała ta połać między Wisłokiem a starą kopalnią francuską w Krościenku Niżnem była bezropna.

Kopalnia ta odsłania dziś nowy naftonośny teren pierwszej jakości, długi kilka kilometrów, i jest wymownym dowodem, jak bogatą jest w ropę Galicya zachodnia.

W ślad za tem rozpoczął się już w Krośnie i okolicy gorączkowy ruch terenowy, przypominający stosunki amerykańskie. Setki nafciarzy zawodowych ściągają do Krosna w nadziei zdobycia skrawków terenu, albo też uzyskania korzystnych stanowisk w technicznym i handlowym dziale tutejszego urzędu górniczego.

Co do szybu „na Krościenku“, to naoczni świadkowie donoszą, że wybuch ropy w pierwszej chwili był tak wielki i zgoła nieoczekiwany, że ze słupa buchającej ropy zdołano uratować zaledwo 30 beczek. Moc wagonów spłynęła polami. Huk i szum były tak wielkie, że spowodowały zbiegowisko wszystkich okolicznych mieszkańców. Szyb cały był w obłokach piany ropnej i silnych gazów, a na 50 metrów nie można było do niego przystąpić.

Niezwykła przygoda w Tatrach.

Geolog dr St. Lencewicz z Warszawy miał niepospolitą przygodę, w Tatrach. W poszukiwaniu moren szedł dr Lencewicz lasem od Hali Pańszczycy w górę. Prawie w połowie lasu, po lewej stronie strumienia, tuż w jego pobliżu nagle, pozornie normalny, jak na te okolice grunt zapadł się. Geolog znalazł się odrazu na dnie groty.

Cała grota była zbudowana z gliny i mniej, lub bardziej zwietrzałych głazów, przeważnie znacznych wymiarów. Wysokość jej, zależnie od nierównego dna wynosiła 7—8 m., a średnica około 6 m. Strop już poprzednio oberwał się, o czem świadczył leżący na dnie groty gruz skalny, glina i głazy. Pozostała tylko 40 cm. gruba warstwa gleby umocowana korzeniami drzew i podszyciem lasu. Ta właśnie warstwa zapadła się pod drem Lencewiczem; przez mały otwór wśliznął się on do wnętrza.

Grota miała kształt dzwonu, ale z jednej strony w dnie widać było zasypany okrągły kanał odpływowy, a pod powierzchnią jego górny odpowiednik.

Temperatura wynosiła + 10° C. ściany wilgotne z obsuwającemi się co jakiś czas, mniejszymi głazami.

Wobec tego, że ścieżka prowadziła dość daleko po drugiej prawej stronie strumienia okolica zaś była przez turystów nienawiedzana, a szumiący obok strumień głuszył wołanie o pomoc, sytuacya była krytyczna, tembardziej, że nie był to nawet szlak owczy.

To też p. Lencewicz usiłował wydostać się sam, z pomocą czekana i młotka.

Po dwóch dniach głodowania i ciężkiej pracy górniczej p. L. zdołał przywołać juhasów, a ci już sprowadzili ludzi i na łańcuchach wyciągnęli geologa z groty.

Biskup-drwalem.

Oddawna krążyły wieści niepokojące o losie biskupa mińskiego, ks. Zygm. Łozińskiego, który dostał się pod panowanie bolszewików, gdy Niemcy ustąpili z Białej Rusi. Biskup ukrywał się przez pięć miesięcy. Najprzód, w ciągu półtrzecia miesiąca ukrywał swoją godność biskupią, chodził w zwyczajnej sutannie, spełniał wszelkie posługi po kościołach swojej dyecezyi. Kim był, wiedzieli tylko wtajemniczeni kapłani. Ludzie go nie znali, bo dopiero na jesieni, roku zeszłego, został biskupem, a więc dyecezyi swej nie zdążył zwizytować.

Drugie dwa i pół miesiąca, biskup musiał ukrywać nawet i swą godność kapłańską. Zdjął sutannę, przywdział na siebie ubiór świecki, jaki noszą tamtejsi wieśniacy i zapuścił brodę. To samo zrobił i jego kapelan. Mieszkali u zagonowego szlachcica, który całego majątku ma 20 morgów. Aby nie dać poznać sąsiadom, kim jest biskup, chodził do lasu z kapelanem i pracował jako drwal: drzewo ciął, ociosywał, rąbał, przenosił.

Taki spokojny i cichy wiódł żywot, dopóki nie rozniosła się wieść, że bolszewicy cofać się zaczęli przed nacierającem wojskiem polskiem, i że linia bojowa będzie przechodziła przez majątek zacnego gospodarza. Pewnego dnia dają znać biskupowi, że jacyś żołnierze go poszukują. Wszyscy myśleli, że bolszewicy przyszli go aresztować. Jakież było jednak zdziwienie biskupa, gdy zamiast bolszewików, ujrzał swoich kochanych zuchów! — W ten sposób został wyratowany. Gdy się znalazł między rodakami, nadeszła wieść, iż Mińsk, stolica biskupia, dnia poprzedniego został przez Polaków wzięty.

Małżeństwa wojenne.

Podobno dawniej małżeństwo było sakramentem. Obecnie mamy cokolwiek zmienione poglądy na tę pożyteczną zresztą instytucyę.

Nasi przodkowie byli stanowczo za poważni, za sentymentalni, przystępując do ołtarza.

My — inaczej...

Dawniej trzeba było koniecznie na kolanach wyznać miłość lękliwej, jak sarenka, panience, wsławić się szeregiem bohaterskich czynów, by wreszcie po długich ceregielach przysięgnąć jej wierność dozgonną...

Dzisiaj formalność umowy o wspólne pożycie z kobietą upodobaną załatwia się o wiele prościej i prędzej.

Miłość — to przeżytek dobry dla hipopotamów, czy innych zwierząt przedpotopowych!

W czasie wojny godnym ręki najpiękniejszej kobiety, ze względów statystycznych, jest — każdy mężczyzna. Zamiast do kościoła, idzie się wreszcie do redakcyi najmodniejszej gazety w mieście, która zamieszcza następujące ogłoszenie:

— „Pan X i panna Y zaślubieni“.

I w ten sposób młode małżeństwo wstępuje na drogę współżycia. Co za lekkomyślność! Jak łatwo dziś ludzie zapominają o szczęściu... Prawdą, przypuśćmy, że jest t. zw. „szczęście“.

Po pewnym czasie moja żona znudziła mi się. Umowa, którą do tej pory czułostkowo nazywałem małżeństwem, staje się, poprostu, aktem niewoli!

Przyczyną mego „błędu życiowego“ nie była miłość, ale np. chęć przejechania się z nią aeroplanem podczas ślubu, sprawa zdobycia mieszkania w Bolszewii, „obowiązek rasowy“ uchylenia się od wojska w uniwersytecie etc. etc.

Czyż jest w tem wina moja? Nie, okoliczności!

A więc pewnego dnia, ze spokojnem sumieniem, oświadczam mej żonie:

— Moja droga, dziś pójdziemy... do rozwodu.

— Jakie to śmieszne — odpowiada mi na to towarzyszka życia z czarującym uśmiechem na ustach. Właśnie chciałam cię prosić o to samo.

I spokojnie, bez gniewu, uraz, nienawiści, nie przyczyniając się w ten sposób do szerzenia demoralizacyi w kraju, przestajemy być... małżeństwem.

A nasze ewentualne dzieci oddajemy „patryotycznie“ na wychowanie — państwu!

S.

W cyrku.

Nad areną cyrkową — hen, przy samym stropie
Ku uciesze gawiedzi co wieczór zawisa
Na trapezie, jak trzcina drobne, jak hurysa
Cudne,... kędyś z obczyzny przygnane tu chłopię.

— — — — — — — — — — — — — —

Wrą tłumy, gra kapela, dłonie biją w dłonie...
Potem cisza... Jak pająk uczepion o nicie,
Dzieciak wisi... na włosku zawisło to życie
Jeden błąd... a roztrzaska o trapezy skronie...

— — — — — — — — — — — — — —

Cisza... Rzekłbyś, że tłumy zasnęły głęboko,
Że kapela ostatni dech wyrzuca w fletnie,
Tygrys czai się,... pełznie... Człowiek wpił weń oko
I czeka... zali życia nić skokiem mu przetnie.

— — — — — — — — — — — — — —

Cisza... lęk... Tysiąc piersi w takt jeden łomota,
Tysiąc serc powstrzymało naraz tętnic bicie.
Igraszka!... Wnet uderzą w poklask!... Jedno życie,
Jedna śmierć!... A za wszystko zapłaci garść złota!...

Ida Pilecka.

Leonidas Andrejew.

W pewnem letnisku w Finlandyi zginął wskutek wybuchu bomby bolszewickiej znany pisarz i dramaturg rosyjski Leonidas Andrejew.

Należał on do najsławniejszych pisarzy współczesnej Rosyi. Rozpoczął karyerę literacką od tomu znakomitych nowel, których treść budziła ponurą grozę. Andrejew lubował się w sytuacyach nietylko dramatycznych, ale i w sytuacyach „denerwujących“. — W tym kierunku posiadał talent ogromny. Pierwszy tom nowel, wydany na dwa, czy trzy lata przed wojną japońską, odrazu postawił Andrejewa w rzędzie najgłośniejszych rosyjskich literatów, obok Czechowa i Gorkija, a opowiadanie z okresu wojny japońskiej p. t. „Czerwony śmiech“ zjednało mu popularność nawet poza granicami jego rozległej ojczyzny.

Nowelę, ten bodaj najpiękniejszy rodzaj twórczości literackiej, rodzaj unieśmiertelniony przez Boccaccia, Edgara Poe, Maupassanta, porzucił Andrejew dla dramatu, dla rodzaju posiadającego najszczuplejszą liczbę mistrzów. Obdarzony poczuciem sceny i poczuciem grozy, stworzył w krótkim czasie długi szereg utworów, które zdobyły wielkie powodzenie teatralne. Wprawdzie element historyi zastępował mu często moc dramatyczną, a ideę zastępowało niedomówienie o pozorach symbolu, ale w dramatach Andrejewa nigdy nie brakowało teatru, widowiska. Ostatni jego utwór p. t. „Ten, kogo policzkują“, grany był w całej Rosyi z wielkiem powodzeniem, mimo że jest poetycką płytką blagą, ale dlatego, że jest efektownym widowiskiem, że jest polem do reżyserskiego popisu i że posiada niby dobre trzy czy cztery role.

Połowa dramatycznych utworów Andrejewa była zakazana przez tępą cenzurę carską i synodalną. „Sawę“, dramat o anarchiście, przegrywającym swoją działalność, zakazała cenzura świecka, „Anatemę“, mglisty dramat symboliczny zdjęła z afisza cenzura synodalna. Gdy „Anatemę“ przedłożono Mikołajowi II., raczył rzecz osobiście głośno przeczytać w kółku rodzinnem i rzekł: „Ja w tym utworze nie znajduję nic niereligijnego. Skoro jednakże synod grać zabronił „Anatemę“, musi on mieć na to swoje subtelne racye“. I dla subtelnych racyj synodalnych, niezrozumianych ani przez szeroką publiczność, ani przez samowładnego monarchę, „Anatemę“ zdarto z afisza.

W czasie wojny Andrejew występował jako publicysta. Na tem polu jednak nie odznaczał się wybitniejszemi zdolnościami.

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

Nieznajomy.

W tych dniach zjawił się przy mojem biurku młody, dystyngowany człowiek, którego niedawno poznałem przelotnie w pewnem eleganckiem towarzystwie i zaproponował mi literacką spółkę.

Chciałem odrzec na to coś wymijającego, ale młody, dystyngowany człowiek uprzedził pierwsze słowo mojej odpowiedzi.

— Panu wydaje się zuchwalstwem, że śmiem czynić propozycyę tej treści człowiekowi, którego sława...

— Ja mam dziś u doktora...

— Mnie samemu zabrakłoby śmiałości, gdyby nie to, że pomysł, który mi przyszedł do głowy...,

— O siódmej właśnie... i tak będę spóźniony...

— Sam pan go oceni i przekona się, że wszystko zeń można zrobić. Dramat, tragedyę, powieść, poemat...

— I mogę go już nie zastać...

— Trzy momenty panu tylko zaznaczę. Jeżeli pan się nie zapali do tego pomysłu, to nazwie mnie pan dudkiem, osłem, baranem, czem pan tylko będzie chciał.

To mówiąc usiadł.

— Panie, moment pierwszy: Stary, szlachecki dwór w ziemi kaliskiej (może być i w lubelskiej, to wszystko jedno). Ojciec umarł, matka niezaradna, syn młody, córka piękna. Ruina. Jutro ma przyjechać komornik. Rozpacz. — Żadnego już ratunku. Żadnego. — Co robić? Matka się modli, syn złorzeczy, córka łamie ręce. Białe, piękne ręce. Wtem — ktoś zajeżdża przed dwór. Bryczka. Wysiada z niej nieznajomy człowiek. Kłania się grzecznie. Mówi, że słyszał, iż rodzina jest w potrzebie; że gotów przyjść z pomocą, że pożyczy, ile trzeba. To mówiąc, kładzie przed zdumioną rodziną dużą kopertę. Rodzina rzuca się na kopertę. Okrągły milion marek samemi stumarkówkami. Radość. Chcą podziękować. Nieznajomy już odjechał. — Moment pierwszy.

Młody, dystyngowany człowiek umilkł.

— A ja?

Ja bąknąłem:

— To ciekawe.

Młody, dystyngowany człowiek już z miną dyskretnie tryumfującą ciągnął:

— Moment drugi. Upływa lat dwa. Szczęście zapanowało we dworze. Matka ma się dobrze. Syn podróżuje po świecie. Córka wychodzi za mąż. Za sąsiada. Ten sąsiad jest arcybogatym

Pogadanka o modach jesiennych.

Wprawdzie panuje jeszcze na razie piękna pogoda, która pozwala nosić letnie suknie, nie należy jednak jeszcze zapominać, że to już koniec „babiego“ nawet lata, że październik puka do wrót w szacie pożółkłych liści... Trzeba więc o tem pomyśleć, jak skompletować garderobę na jesień.

Zacząć wypada od najważniejszej obecnie części ciała od nogi. Ponieważ spodnice wbrew zapowiedziom zmian są krótkie i wązkie, przeto ubiór nogi jest pierwszorzędnym szczegółem toalety elegantki. W tej dziedzinie moda idzie po dotychczasowej linii. Pończochy przejrzyste, cienkie, jak pajęczyna, buciki najczęściej pantofelki coraz mniejsze na wysokich obcasach. Nawet duża noga musi być małą, bo tak wymaga moda, a wierne jej hołdowniczki poddają się pozornie wszystkim najniedorzeczniejszym choćby kaprysom despotycznej królowej.

Zwyczaj noszenia co dzień drogich, a niepraktycznych jedwabnych pończoch staje się tak powszechnym, że do Francyi występują z nim do walki poważni ludzie, twierdząc, że wydatek na nietrwałe, kosztowne pończochy rujnuje niejedną rodzinę.

Co do barw, których panowanie zapowiadane jest w najbliższym sezonie, to najmodniejsze będą kolory: zielony, szkocki, oraz kombinacya czarnego z popielatym.

Naogół modę obecną cechuje wielka rozmaitość. Pewna elegantka była niedawno w kłopocie, jak dać sobie zrobić nową suknię, ponieważ w jednych żurnalach spódnice są ciągle krótkie, w innych znacznie dłuższe, w jednych bardzo wązkie, w innych szersze, często z trzech pięter falbanek ułożone. Rozmaitość ta idzie jeszcze dalej, bo kostyumy mają rękawy wązkie, natomiast płaszcze, zwłaszcza teatralne grawitują ku formie kimono, z krótkimi, szerokimi rękawami.

Przy bluzkach coraz częściej pojawia się kołnierzyk wysoki, nieraz z przodu otwarty. — Przechodząc do głowy, musimy stwierdzić, że moda wymaga, aby ją głęboko nakrywać. Najpierw fryzurą małą, ale nizko na czoło i uszy zachodzącą — następnie kapeluszem o spadającem rondzie. Kapelusze mają być krótsze z przodu i z tyłu, a wydłużone po bokach.

W ostatnich latach zupełnie wyszły z użycia strusie pióra. Panie często przerabiały je na mniejsze, na t. zw. fantazye, czego dziś niejedna żałować będzie, bo kaprys królowej mody znowu powołał je na wybitne stanowisko. Kogo jednak nie stać na strusie pióra, niech się pocieszy, że i wstążki są bardzo modne, a także i kwiaty, które dotychczas prawie zupełnie były wyrugowane z kapeluszy jesiennych. Bardzo modne są kapelusze, których szerokie rondo jest zrobione z cienkich koronek lub gazy, a główka z futerka.

Jest zatem w czem wybierać, byleby tylko każda z pań wybrała to, co najlepiej odpowiada jej powierzchowności... Na tem bowiem polega tajemnica gustownego stroju, aby stosując się rozsądnie do wymogów mody, jednocześnie uwzględniać swoją indywidualność.

Japońska recepta na idealnego męża.

Japońskie czasopismo „Szukuwo Gohano“, co znaczy „cnotliwa kobieta“ ogłosiło dla swych czytelniczek ankietę na receptę na idealnego męża. Zestawienie wyników ankiety ujawniło, że kobiety z kraju kamelii i kwitnących wiśni, następujących zalet wymagają od idealnego męża:

1) Nie może być skąpym.

2) Nie wolno mu zajmować się zbyt wiele własnem ubraniem i powierzchownością.

3) Niechaj ma iście męski wygląd.

4) Inne kobiety nie powinny istnieć dla niego.

5) Musi się zawsze jasno i ściśle wyrażać.

6) Powinien być człowiekiem o szybkiej decyzyi.

7) Musi mieć jakiś ideał.

8) Nie wolno mu się nigdy pokazywać w kuchni.

9) Nie wolno mu krytykować toalety ani fryzury żony.

10) Niechaj nie traci czasu na opowiadanie kobietom o tem, jaki jest jego gust.

11) Nie śmie być pijakiem.

12) Nie może być za gruby.

13) Nie wolno mu być zazdrosnym.

Oczy.

Widzę nad sobą jasne oczy Twoje.
Jak złote gwiazdki w niebieskim bezkresie,
Smutne i łzawe dwa kryniczne zdroje,
Cicho płynące po bezlistnym lesie.

Szczęśliwy patrzę i stracić się boję
Każde spojrzenie, które wzrok Twój niesie,
Smutne i łzawe, jak kryniczne zdroje,
Cicho płynące po bezlistnym lesie. **G.**

---

i hrabią w dodatku. Wszyscy się cieszą. Syn wraca z podróży. Na ślub. Naraz...

— Wchodzi nieznajomy... Nie jeszcze. Naraz córka zapada na zdrowiu. Nagle, ale gwałtownie. I gaśnie w oczach. Doktorzy. Konsylia. Nic. Umrze. Rozpacz. Wtem...

— Wchodzi nieznajomy...

— Wchodzi nieznajomy. I przynosi lekarstwo. Z Indyj lekarstwo. Prosi, żeby spróbować. Ryzyka przecież niema, bo chorą lekarze na śmierć skazali. Istotnie. Nie zaszkodzi. Młoda dziewica próbuje lekarstwa indyjskiego. Zaraz jej lepiej. Bierze jeszcze... Lepiej. Trzy dni mija. Piękność wstaje z łóżka i idzie do ołtarza z arcybogatym hrabią. A nieznajomy znowu zginął. Jak kamień w wodzie.

Szepnąłem:

— Nadzwyczajne!

Młody, dystyngowany człowiek nie tłumił już wyrazu tryumfu na obliczu.

— A co? nie mówiłem!

I mówił dalej:

— Moment trzeci. Indye. Podzwrotnikowy las, pełen zbójeckiego zwierza i zbójeckiego człowieka! Młody obywatel z ziemi kaliskiej (albo z piotrkowskiej, to nie gra roli) podróżuje. Wspomina o matce, która zażywa starości w spokoju i dworze ojców. Wspomina o siostrze, która jest piękną hrabiną. Wspomina o dziwnym dobroczyńcy, który dwa razy ich ocalił w tak niespodziewany i radykalny sposób. Kto on? Kto on? Wtem...

— Zjawia się nieznajomy... Nie jeszcze. Wtem wpada banda induskich zbójów. Pieniądze, albo życie! Młodzian oddaje im książeczkę czekową. Zbóje się straszliwie śmieją. „Na co nam to“ — wołają. — „Nie mam pieniędzy innych“. „Więc dasz życie“. I radzą, w jakiby tu sposób, najokrutniejszy ze wszystkich, zamordować go. Wiążą mu ręce i nogi. Nagle — strzały. Jeden zbój pada. Drugi zbój pada. Nad związaną ofiarą nachyla się dobrze znajoma twarz nieznajomego. „To ty?!“ — woła ofiara. „Tak, to ja“ — odpowiada nieznajomy.

Młody, dystyngowany człowiek zatrzymał się nagle, jak pociąg, któremu maszynista puścił kontrparę.

— No?! — rzekłem.

— Już! — odpowiedział.

— Co już?

— Mój pomysł.

— Ale któż to jest ten nieznajomy?!

— Ba! żebym ja wiedział, tobym sam napisał dramat albo powieść. Nie szukałbym wspólnika...

ARTUR CONAN-DOYLE.

Widmo przeszłości.

I.

Rodzina West z Edynburga.

Zacznę od kilku rysów biograficznych.

Nazywam się John Fatterjeal West, jestem słuchaczem wydziału prawnego w St. Andrews i pragnąłbym w treściwej formie podać do publicznej wiadomości moje zeznania.

Nie gonię za sławą literacką, nie pragnę bynajmniej czarem mego słowa i artyzmem opowiadania rzucać jeszcze głębszego cienia na to niezwykłe wydarzenie, o którem mam opowiedzieć.

Chcę przedewszystkiem, aby ludzie, wiedzący coś nie coś o tej sprawie, przeczytawszy moje sprawozdanie, mogli świadomie i w dobrej wierze osądzić je, nie znajdując w mojem opowiadaniu najmniejszego nawet rozminięcia się z prawdą.

Osiągnąwszy ten cel, będę mógł spokojnie spocząć, zupełnie zadowolony z rezultatu mojej pierwszej i, prawdopodobnie, ostatniej próby na polu literackiem.

Pierwotnie chciałem jedno za drugiem, w należytym porządku, opisać wszystkie wydarzenia, opowiadając o tem, co się działo w mojej obecności i cytując wiarygodne zeznania świadków o tych wypadkach, przy których sam nie byłem obecny. Jednak, dzięki współdziałaniu moich przyjaciół, ułożyłem inny plan, wprawdzie, zyska on mniej uznania dla mnie, da jednak więcej zadowolenia czytelnikom.

Pragnę przytoczyć rozmaite rękopisy, znajdujące się w mem posiadaniu, a dotyczącej tej sprawy; zaliczam do nich przedewszystkiem zeznania osób, dobrze znających generała Levis'a.

A zatem, przedstawię czytelnikom zeznania Izraela Stacksa w Cloomber-Hall, oraz Johna Esterlinga, lekarza. Przyłączę do tego urywki z dziennika nieboszczyka Johna Bertier Levis'a, dotyczące wypadków, jakie miały miejsce w dolinie Thul, w jesieni 1841 roku, mniej więcej przy końcu pierwszej wojny w Afganistanie, z opisem potyczki w wąwozie Therada i śmierci Hulab Szacha.

Biorę na siebie obowiązek wypełnienia wszystkich luk i niedomówień. Tym sposobem więc zrzekam się tytułu autora, stając się jedynie pospolitym kompilatorem. Praca moja przestaje być opowiadaniem historyczno-kronikarskiem i zamienia się w seryę zeznań świadków.

Ojciec mój, Jorn Hunter West, był znanym uczonym, zajmującym się literaturą wschodnią, jakoteż sanskrycką; dotychczas cenią go wszyscy, którzy interesują się tym przedmiotem. On pierwszy, po Wiliamie Johnsie, zwrócił uwagę na wielkie znaczenie literatury perskiej, a jego przekłady utworów Hawiza i Ferid-Eddina Atara zyskały mu gorące pochwały barona von Hammer z Wiednia i innych znanych krytyków Kontynentu.

W styczniowym zeszycie „Przeglądu nauk wschodnich" za rok 1861, nazywają go „znakomitym i nader uczonym Westem z Edynburga"; doskonale pamiętam, jak ojciec wyciął tę wzmiankę z pisma i z łatwo zrozumiałą dumą schował wycinek pomiędzy najważniejsze dokumenta familijne.

Ojciec był ukończonym prawnikiem, zajęcia jednak naukowe pochłaniały go do tego stopnia, że praktyki całkowicie prawie zaniechał.

Gdy klienci zjawiali się w mieszkaniu przy Georges-Street, okazywało się zazwyczaj, że ojciec zatopiony jest całkowicie w odczytywaniu jakiegoś dokumentu, lub też zapleśniałego manuskryptu, a myśli jego zajęte są więcej kodeksem, wydanym przez Manu na sześćset lat przed Narodzeniem Chrystusa, aniżeli zawiłymi problemami prawodawstwa szkockiego z dziewiętnastego wieku. Nic więc dziwnego, że w miarę tego, jak praca naukowa mojego ojca postępowała naprzód, klienci jego rozpraszali się, tak, że w chwili, gdy dosięgnął zenitu swej sławy, pod względem materyalnym, znalazł się w smutnem ze wszech miar położeniu tureckiego świętego.

W żadnym z uniwersytetów jego ojczyzny nie było katedry literatury sanskryckiej, nigdzie też nie objawiano najmniejszego zapotrzebowania na jedyny w swym rodzaju towar umysłowy, jaki ojciec mój mógł społeczeństwu zaofiarować; bylibyśmy też zmuszeni zapoznać się z dotkliwą nędzą, pocieszając się aforyzmami i przepisami życia Firdusiego, Omara, Khajama i innych pisarzy — wschodnich ulubieńców ojca, gdyby nie pomoc, okazana nam przez jego dalekiego kuzyna, Wiliama lorda Brinksome z hrabstwa Wichtowne.

Lord Wiliam Brinksome posiadał wprawdzie wielkie obszary ziemi, nieurodzajne wszakże i mało wskutek tego przynoszące dochodu; a jednak, prowadząc nader skromny tryb życia, lord Wiliam robił nawet oszczędności.

Podczas naszego względnego dobrobytu, mało słyszeliśmy o nim; w tym samym czasie, gdy nasze warunki materyalne zmieniły się na gorsze, nadszedł od lorda list, dający nam dowód jego sympatyi, oraz możność poprawienia naszego smutnego położenia. Lord pisał, że od pewnego czasu zasłabł na płuca i doktór Esterling poradził mu ostatnie lata przebyć w łagodniejszym klimacie. Skutkiem tego postanowił udać się na południe Włoch i zapraszał nas na czas swej nieobecności do zamieszkania w Brinksome, pod warunkiem, aby ojciec mój objął zarząd jego dóbr i otrzymywał za to wynagrodzenie. Pensya, którą lord mu wyznaczył, zapewniała nam tymczasem życie bez troski.

W owym czasie matka nasza od lat już paru nie żyła, rodzina zaś nasza składała się tylko ze mnie, mego ojca i siostry mojej, Estery. Oczywiście, naradziliśmy się niedługo i wkrótce zgodziliśmy się przyjąć wspaniałomyślną propozycyę lorda. Tegoż wieczoru ojciec udał się do Wichtowne; Estera zaś i ja pojechaliśmy tam w kilka dni potem, wziąwszy ze sobą dwa worki książek i te z naszych rzeczy, które opłacało się przewieść na nową siedzibę.

II.

W Cloomber zjawia się tajemniczy mieszkaniec.

W porównaniu z rezydencyami innych magnatów angielskich, Brinksome mógł się wydawać dosyć ubogą siedzibą; dla nas jednak, którzy przez tak długi czas zamieszkiwaliśmy duszne i ciasne mieszkania, był on cudownym, wspaniałym pałacem.

Dom był szeroki, niski, kryty czerwoną dachówką z mnóstwem olbrzymich pokoi, o zakopconych sufitach i ścianach, wyłożonych dębową boazeryą. Przed domem roztaczał się stary, zapuszczony park, z niewielkiem stawem, okolonym płaczącemi brzozami, z tyłu zaś, w niewielkiej odległości, widniała wioska Brinksome-Beer, składająca się z kilkunastu chat i po większej części zamieszkała przez rybaków. Na zachód od domu widniał żółty, piaszczysty brzeg morza Irlandzkiego, we wszystkich zaś innych kierunkach ciągnęły się, dziwnym smutkiem owiane, niziny, z początku szaro-zielone potem coraz bledsze, wreszcie całkiem liliowe. Pustka i samotność stanowiły wybitną cechę tej okolicy. Można było przejść wiele mil, nie spotkawszy ani jednej żywej duszy i tylko czasem białe czajki przelatywały z krzykiem rozdzierającym pełną tajemnic ciszę wybrzeża.

Straciwszy z oczu Briksome, nie napotykało się nawet śladu pracy ludzkiej; tylko wysoka, biała wieża Cloomber-Hall'u, nakształt pomnika, na jakimś olbrzymim grobie, górowała nad lasem, strzelając dumnie w niebiosa.

Monumentalny ów budynek, odległy mniej więcej o milę od naszej siedziby, został wzniesiony przez pewnego bogatego kupca z Glasgowu, posiadającego oryginalny gust i rozmiłowanego w samotności; w tym czasie jednak, gdyśmy przybyli do Brinksome, od wielu lat nikt go już nie zamieszkiwał. Zamek Cloomber był zupełnie pusty i niezliczone otwory jego okien patrzały w dal, niby martwe oczy.

(C. d. n.).

HUMOR i SATYRA.

Bolszewik.

Bolszewik takie jest stworzenie,
że co ma w łapie, wszystko bierze
i nie wódź nas na pokuszenie,
ażeby wstąpić z nim w przymierze.

Bolszewik złote ma sumienie
i dobre serce, dobrze czuje,
więc widząc, że jest przeludnienie,
bez „ale“ ludzi wciąż morduje.

A naszej chcąc dopomódz doli,
by zboża więcej my zebrali
i więcej mieli w Polsce roli,
miasteczka, wsie i lasy pali.

Bolszewik święte ma pokroje,
zasady jego, wszak nic złego:
„co twoje, to jest również moje,
co moje, tobie nic do tego!“...

Z. O.

To i owo.

— Ach, doktorze! Nigdy nie zapomnę, że jestem ci winną życie...
— Nie przesadzajmy, nie przesadzajmy... jesteś mi pani winną tylko za dwadzieścia wizyt...

* * *

— Zanim zaabonuję pismo panów, zapytam się, jakich panowie są właściwie przekonań?
— A jakich przekonań jest szanowny pan dobrodziej?...
— Ja właściwie jeszcze do obecnej chwili nie mam żadnych przekonań...
— My tak samo, panie dobrodzieju, zupełnie tak samo...

* * *

— Ja ci powiadam, Fabjan, żebyś biurowych ołówków i stalówek do domu nie zabierał.
— No... a pan pryncypał sam się chwali przed nami, że od małego zaczynał.

* * *

— Podobno wczoraj dostałeś straszne lanie?
— I, chwała Bogu, że się to już skończyło, bo mi obiecywali od trzech miesięcy...

* * *

— Powiedz mi, co to właściwie znaczy: r a t y f i k a c y a pokoju.
— To znaczy: rozłożenie pokoju na r a t y.



— Icek Paskower! Powiedz, co znaczy wyraz „hańba“!
— Hańba — znaczy naprzikład wywozić wagon zboża z Warszawy do Niemiec i ...
— Dobrze! dobrze! I co dalej?
— I cobi w Sosnowcu złapili!...



— Dorożkarz! Wolny?
— Wolny, jaśnie panie!
— To się ożeń!...

Redaktor odpowiedzialny: Marya Jadwiga Migowa. Wydawca: Wacław Grabiański.
Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.